TYDZIEŃ

Nr 8 (32) ROK II
23. II. 1947
CENA 12 ZŁ



Wywiad z ambasadorem Oskarem Langem • K. Z. Skierski — Fakty i cyfry • Monte Cassino • Nowe drogi obozu katolickiego (Rozmowa z B. Piaseckim)

tak i nie

Pół czarnej Premiera



Było to w październiku w Paryżu. Przechodziłem koło Grand Palais, gdzie urządzono jesienny salon automobilowy. Nagle jak spod ziemi wyrosło ze stu policjantów w czarnych pelerynkach, którzy, wziąwszy się za ręce, odsunęli publiczność na drugą stronę ulicy, na odległość przynajmniej stu metrów od pałacu. Z obu stron głównego wejścia ulokowała się druga setka członków słynnej „garde mobile", dawniej paradującej na wspaniałych koniach, a dziś zmotoryzowanej przy pomocy nowoczesnych autobusów. Po tych przygotowaniach ukazał się u szczytu schodów ówczesny premier Bidault, który zeszedł, wsiadł do samochodu i odjechał — poprzedzany i eskortowany przez auta z policją.

Przypomniało mi się to widowisko, gdy wieczorem pewnego dnia zaszedłem do jednego z licznych w Warszawie barów kawowych. Przy jednym ze stolików w towarzystwie dwóch najbliższych współpracowników siedział przy pół czarnej premier Cyrankiewicz. Po wypiciu kawy wyszedł z lokalu i pieszo bez żadnej asysty udał się do swego biura.

Te dwa obrazki są bardzo charakterystyczne. Możnaby do nich jeszcze dodać to ,co często widujemy na ekranach i na fotografiach: jak to prezydent Stanów Zjednoczonych, otoczony przez auta z policją z bronią nastawioną do strzału i rojem zbrojnych motocyklistów, przejeżdża przez ulice miast amerykańskich. No, ale cóż, i tak powiedzą, że na zachodzie jest demokracja, a u nas jej nie ma. I że nasz rząd odgrodzony jest od społeczeństwa.

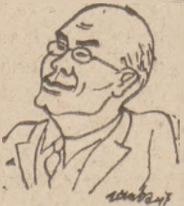
Fotografia Prezydenta

Popularna jest w Warszawie osoba dziennikarza Pisarskiego. Bez niego nie odbywa się żadna większa uroczystość. Z tytułu swych obowiązków dziennikarskich znajduje się on zawsze w pobliżu najwyższych dostojników państwowych. Stąd też figuruje na licznych zdjęciach z tych uroczystości.

Opowiadają, że niedawno wykonano zdjęcie Prezydenta Bieruta do legitymacji. Kiedy przedstawiono wykonaną fotografię, Prezydent miał powiedzieć:

— Ależ to nie ja! Przecież tu brak Pisarskiego!

Wartość Ziem Odzyskanych



W chwili, gdy sprawa niemiecka wchodzi na stół obrad międzynarodowych, niemieckie tendencje rewizjonistyczne przybierają na sile. Niemcy niestrudzenie choć na szczęście bezskutecznie, usiłują wykazać, iż utrata ziem wschodnich jest niepowetowanym ciosem dla gospodarki niemieckiej i uniemożliwia podniesiene stopy życiowej oraz spłatę odszkodowań.

Interesujące szczegóły na ten temat przedstawił dziennikarzom zagranicznym wicepremier Gomułka:

W Poczdamie — stwierdził on — przyjęto zasadę, iż stopa życiowa krajów sąsiadujących z Niemcami nie może być niższa niż stopa życiowa Niemców. Dotyczy to zatem i Polski.

W roku 1936 dochód społeczny Niemiec wynosił 167,6 miliardów złotych. W tym samym roku dochód społeczny Polski wynosił 22,5 miliardów złotych. Dochód społeczny Niemiec wyższy był zatem prawie siedem razy przy ludności niewiele ponad dwa razy większej niż ludność Polski. Naturalnie przy takim dochodzie Niemcy mogły przeznaczać setki miliardów złotych na przygotowywanie wojny i utrzymywanie wyższej stopy życiowej niż w Polsce. Terytorium Ziem Odzyskanych, które odeszło do Polski, uczestniczyło w ogólnym dochodzie społecznym Niemiec w niecałych dziesięciu procentach. Biorąc za podstawę obliczeń lata przedwojenne, dochód społeczny w Niemczech powinien wynosić obecnie na głowę mieszkańca 2.136 złotych — bez terytoriów wschodnich, co oznacza minimalne obniżenie tego dochodu w stosunku do okresu przedwojennego. W Polsce, w nowych jej granicach bez uwzględnienia zniszczeń Ziem Odzyskanych dochód roczny na człowieka wynosi około 1.674 złotych czyli i tak znacznie mniej, niż to przewiduje układ poczdamski.

Różnicy tej nie wyrównuje odszkodowanie ze strony Niemiec — na pokrycie naszych strat, które wynoszą przeszło 300 miliardów złotych przedwojennych — trudno liczyć.

Cyfry i fakty mówią za nas i dla nas.

Luneta Nelsona

Ostatnio w parlamencie angielskim dwukrotnie mówiło się o sprawach Polski. Raz z okazji naszych wyborów i raz z powodu uchwalania ustawy o Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Przy tej okazji posłowie i przedstawiciele rządu powiedzieli wiele ciekawych, trafnych i dowcipnych rzeczy. Oto jeden z posłów Partii Pracy zrobił uwagę, że stosunek rządu brytyjskiego do Polski przypomina mu nieco zachowanie się Nelsona pod Kopenhagą. Jak wiadomo, w czasie tej bitwy wielki admirał przykładał lunetę do ślepego oka i dziwił się, że nic nie widzi.

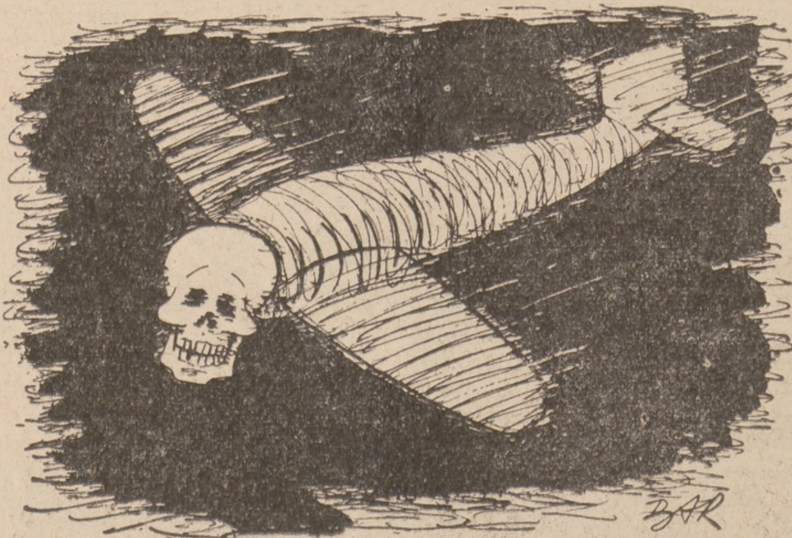
Porównania z czasów napoleońskich użył również minister spraw wewnętrznych Ede. Przypomniał on mianowicie, że w czasie bitwy pod Waterloo wojsko brytyjskie składało się w większej części z cudzoziemców. A dalej uzasadniając pogląd, iż Polacy nie mogą wchodzić w skład wojsk brytyjskich w większych ilościach i że mogą piastować najwyżej funkcję chorążego, minister powiedział: „Wielka Brytania bardzo lubi obce wojska jako sojuszników na polach bitew, ale nie lubi cudzoziemców w swoim wojsku".

Bardzo cenne, charakterystyczne wyznanie.

Sojusz polsko-francuski

Stała się ostatnio aktualna sprawa sojuszu polsko - francuskiego. Układ z roku 1921 formalnie obowiązuje nadal, ale ma ulec modyfikacji, przystosowaniu do zmienionej sytuacji politycznej. Układ ten w ostatnich latach przed wojną stał się martwą literą w związku z proniemiecką polityką sanacji. W roku 1936 polityka polska, kierowana przez ministra Becka, wykonała manewr, mający za zadanie stworzenie pozorów ożywienia tego sojuszu.

W tym celu udał się do Paryża Rydz-Śmigły by prosić o pożyczkę na wyekwipowanie i unowocześnienie armii polskiej. We Francji przy władzy był wówczas rząd Frontu Ludowego, na czele którego stał Leon Blum. W rozmowach ze Śmigłym Blum wyjaśnił trudności, jakie może mieć rząd francuski w przyznaniu kredytów Polsce, rządzonej po dyktatorsku i po faszystowsku. W odpowiedzi na to Rydz wyraził gotowość podpisania deklaracji, zobowiązującej rząd sanacyjny do przeprowadzenia reform demokratycznych. Agenci Becka, otaczający Śmigłego, dowiedzieli się o tym zamierzeniu i zawiadomili o nim swego szefa, który telefonicznie z Warszawy zakazał Śmigłemu podpisywania jakichkolwiek układów i oświadczeń. Zamiast układu więc naczelny wódz wojska polskiego dał premierowi oficerskie słowo honoru, że dotrzyma danych przyrzeczeń.



Rys. K. Baraniecki

D a k o t a

Ostrze na ostrze

Ciocia już nie wierzy w Londyn

Gdy ktoś przeżywa rozczarowania w wieku młodzieńczym, uważamy to za rzecz naturalną. Rozwiane marzenia, właściwe młodocianym duszom, dają w rezultacie sumę doświadczeń, zwanych mądrością życiową.

Gorzej bywa natomiast, gdy rozczarowanie spotyka kogoś, czyj podeszły wiek nie rokuje już żadnych możliwości zbudowania nowego domku z kart.

Tak dzieje się czasami z politykami, którzy na stare lata zmieniają kolor krawata z rodzinnego — czerwonego na zielony i obrażają się na rodzinę, że nikt jakoś nie chce iść w ich ślady.

Podobnie ma się rzecz i ze zwykłymi, szarymi ludźmi.

Mam np. taką starą ciotkę w rodzinie. W ciągu siedemdziesięciu lat swego życia żyła spokojnie, bogobojnie, w zbożnym i beznamiętnym milczeniu, pełnym podziwu i bierności, przysłuchując się dyskutom politycznym, prowadzonym przez mężczyzn. Przekroczywszy wyżej wspomniany wiek, odkryła w sobie nagle niezwykły zmysł polityczno - dyplomatyczny, zatraciła zrozumienie i zainteresowanie dla subtelnych kobiecych dusz w powieściach expressowych, pochłania natomiast wielkimi haustami wiadomości polityczne i komentuje je precyzyjnie na swój sposób.

Nie przyjmuje oczywiście niczego, co pisze nasza prasa bezkrytycznie, a wszystkie informacje skrupulatnie konfrontuje z londyńskim BBC.

„Tu mówi Londyn" — jest kilka razy dziennie zapowiedzią wielkiego objawienia, a wstępne afrykańskie bicie w bęben, czyli „bum - bum, bum - bum" jest jedynym magicznym tonem, zdolnym przerwać natychmiast obfity potok wymowy cioci, nawet na najbardziej frapujący temat. Z tym uniwersalnym środkiem uciszenia cioci nikt z nas nie może konkurować.

Ciocia wierzyła dotychczas święcie i niezachwianie we wszystko, co mówił Londyn. Zaczęła nawet — o zgrozo — pod wpływem niektórych ostatnich audycji wierzyć, iż ten straszny, „warszawski" rząd „coś tam robi" — że odbudowa kraju posuwa się dzięki temu naprzód itp., co dotychczas nie było przez nią absolutnie przyjmowane do wiadomości.

Niestety jednak tej ufnej wierze zadano obecnie okrutny cios.

Radio Londyn nadało kolejno dwie audycje, w których podkreślono z całą stanowczością i odpowiedzialnością za wyrzeczone słowa, iż Brytyjczycy nie mają sumienia zmuszać Polaków do powrotu na łono Ojczyzny, ponieważ nie mogą ich wydać na pastwę... prześladowań religijnych, jakie dzieją się w Polsce!

W tym miejscu ciocia z niedowierzaniem uszczypnęła się w policzek, by przekonać się, czy nie śni. Nie. A może przesłyszała się? Też nie. Więc jak to jest? Przecież ona sama, ile razy pobożna dusza zapragnie, chodzi sobie do kościoła, w całej Polsce odbudowuje się kościoły, za antyklerykalne wybryki gani się publicznie czołowe marksistowskie pismo, zresztą — co tu dużo mówić — co, jak co, ale o prześladowaniach religijnych jako żywo ciocia nie słyszała, mimo, iż o wszystkich niecnych sprawkach polskiej demokracji jako czynna reporterka PAP-u (Pantoflowej Agencji Prasowej), kochana ciotunia wie więcej, niż wie o nich sama demokracja.

— Czyżby Londyn kłamał? — potworne przypuszczenie zraniło boleśnie wierne serce wdzięcznej słuchaczki.

Cały gmach misternie zbudowanej filozofii zatrząsł się w posadach.

Bo jeśli i Londyn kłamie, to komuż wierzyć na tym zakłamanym świecie?

Jakże gorzko rozczarowała się biedna, stara ciocia!

Jednej tylko doznała ulgi. Jeżeli bowiem londyńskie radio kłamie w jednym wypadku, to pewno i inne wieści o Polsce są też nieprawdziwe! A więc...

— O tej odbudowie i jej doskonałych rezultatach w poprzednich audycjach londyńskich — to też chyba bujda! — zawołała radośnie ciocia, zabierając się w jasnym, ciepłym, wyremontowanym pokoju do konsumowania wieprzowego kotleta, o jakim jej się przed rokiem nawet jeszcze nie śniło.

— Tak mnie nabrać! A ja już gotowa byłam w to uwierzyć!

AVIS

NASZA OKŁADKA



Rys. Edmunda Bartłomiejczyka

W ostatni wtorek karnawału o północy biesiadnicy wywożą wiejskiego muzykanta na taczce z karczmy: jeden z idących niesie kota, drugi garnek popiołu. Na miedzy ciskają garnek z popiołem i wypuszczają kota, który ma oznaczać duszę uchodzącą z zabitego muzykanta.

(Zygmunt Gloger — „Rok Polski")

tak i nie STRONA 4

DĄŻYMY DO ROZBROJENIA NATYCHMIASTOWEGO

WYWIAD Z DELEGATEM POLSKI W RADZIE BEZPIECZEŃSTWA O N Z — AMBASADOREM OSKAREM LANGEM

Przed kilkoma dniami przybył z Ameryki do Polski delegat Rządu Polskiego do Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych — ambasador Oskar Lange. Na prośbę naszego korespondenta zgodził się ambasador Lange odpowiedzieć na szereg pytań.

— Wszystkie sprawy rozpatrywane na O. N. Z. i decyzje, które tam zapadają żywo interesują nas. Czy nie zechciałby Pan, Panie Ambasadorze, opowiedzieć nam o najważniejszych osiągnięciach Walnego Zgromadzenia O. N. Z.?

— Bezsprzecznie największym i najważniejszym osiągnięciem jest uchwała o rozbrojeniu. Uchwała ta powzięta jednomyślnie przez przedstawicieli pięćdziesięciu czterech państw, przewiduje następujące punkty. Po pierwsze: zakaz produkcji oraz stosowanie broni atomowej i innych broni masowego niszczenia oraz powołania międzynarodowej inspekcji i kontroli dla realizacji tego zakazu. Po drugie: ogólną redukcję zbrojeń oraz powołanie międzynarodowej kontroli i inspekcji dla realizacji tego zakazu. Po trzecie — wycofanie wojsk jednego państwa — członka ONZ z terytoriów drugiego państwa, również członka tej organizacji. Po czwarte — redukcja armii okupacyjnych na terytoriach nieprzyjacielskich.

Hiszpania

Drugim ważnym pozytywnym osiągnięciem jest uchwała w sprawie Hiszpanii. Jak wiadomo, Polska wystąpiła w Radzie Bezpieczeństwa, a później na Walnym Zgromadzeniu z żądaniem zerwania przez wszystkie państwa, które są członkami ONZ, stosunków dyplomatycznych z faszystowskim rządem generała Franco. Uzyskaliśmy (a na to trzeba było większości dwóch trzecich głosów) częściowo spełnienie naszego żądania. Uchwalono bowiem odwołanie wszystkich posłów i ambasadorów akredytowanych w Madrycie. Uchwałę tę przyjęto jednomyślnie. Ponadto polecono Radzie Bezpieczeństwa (i to więcej niż dwoma trzecimi głosów) ponowne zajęcie się sprawą Hiszpanii, o ile reżim generała Franco nie zostanie zlikwidowany w odpowiednim okresie czasu.

Sprawy gospodarcze

— A w dziedzinie gospodarczej? Czy w tej dziedzinie nie mamy żadnych poważnych osiągnięć?

— Naturalnie. Na przykład przyjęto uchwałę, o której już wspominałem, o odbudowie terenów zniszczonych wojną. Uchwała ta poleca utworzenie Europejskiej Komisji Gospodarczej, w skład której wejść mogą wszystkie państwa europejskie oraz Ameryka. Celem jej ma być koordynacja planów odbudowy. Komisja ma przejąć w swoje ręce takie instytucje, jak Europejska Organizacja Węglowa, Transportowa i temu podobne. W ten sposób Komisja będzie miała kontrolę nad rozdziałem zasobów węglowych, transportowych i innych. W Europejskiej Komisji Gospodarczej widzimy narzędzie, które zapewni współpracę wszystkich krajów europejskich i nie dopuści do rozbicia Europy na bloki gospodarcze, a zwłaszcza do przeciwstawienia sobie Europy Zachodniej — Europie Wschodniej. Jeżeli chodzi o przedłużenie działalności UNRRA, to nie udało się tego przeprowadzić. Była nawet większość za tą akcją, ale Stany Zjednoczone oświadczyły, że do tej organizacji nie przystąpią. W tych warunkach nie miało sensu tworzenie międzynarodowej organizacji pomocy. Udało się jednak przeprowadzić utworzenie tak zwanego Komitetu Technicznego, który ma wydawać zalecenia o potrzebie pomocy. Komitet ten zebrał się i określił potrzeby pomocy żywnościowej dla szeregu państw. Dla Polski na rok bieżący potrzeby te wynoszą sto trzydzieści dziewięć milionów dolarów. Zalecenia powyższe przekazano rządowi amerykańskiemu, ale dotychczas nie wiadomo jaka będzie jego decyzja. Wydaje się jednak, że otrzymamy dość poważną pomoc żywnościową.



(Fot. Film Polski).

Grecja

— Przejdźmy teraz z terenu Walnego Zgromadzenia na teren Rady Bezpieczeństwa. Jeżeli Pan pozwoli, Panie Ambasadorze, to zaczniemy od sprawy greckiej. Obecnie bawi w Grecji wysłana przez Radę Bezpieczeństwa Komisja Śledcza, która ma sprawdzić czy oskarżenie greckie, skierowane przeciwko Jugosławii, Bułgarii i Albanii jest słuszne. Delegatem naszym w tej Komisji jest minister Putrament. Czy nie zechciałby Pan powiedzieć nam jak rozwijała się sprawa grecka na widowni Rady Bezpieczeństwa.

— Rząd grecki zwrócił się do Rady Bezpieczeństwa ze skargą do rządów państw przez Panią wymienionych, o podniecanie wojny domowej w Grecji północnej. Państwa oskarżone kategorycznie zaprzeczyły udzielaniu jakiejkolwiek pomocy partyzantom greckim. O ile mogę się zorientować na podstawie przedstawionego materiału dowodowego, oskarżenie rządu greckiego jest rzeczywiście bezpodstawne. Akcja partyzancka w Grecji jest wyłącznie wynikiem stosunków wewnętrznych tego kraju. Ponieważ chodzi jednak o ścisłe stwierdzenie stanu faktycznego, Rada Bezpieczeństwa uchwaliła wysłanie Komisji Śledczej na miejsce. Zrobiono to na wniosek Stanów Zjednoczonych. Wniosek Ameryki poparliśmy i przedłożyliśmy szereg poprawek, które Amerykanie przyjęli. Tak wniosek amerykański z polskimi poprawkami został w głównych zarysach przyjęty.

Energia atomowa

— Panie Ambasadorze, a jak rozwijała się sprawa kontroli nad energią atomową?

— Komisja energii atomowej przedłożyła Radzie Bezpieczeństwa swój raport. Zawiera on wytyczne dla Międzynarodowej Organizacji Kontroli i Inspekcji nad produkcją i używaniem energii atomowej. Większa część raportu jest uzgodniona między państwami — członkami Rady Bezpieczeństwa. Są jednak poważne różnice dotyczące dwóch kwestii. Amerykanie żądają zniesienia veta przy stosowaniu sankcji za naruszenie zakazu produkowania broni atomowej. Związek Radziecki żąda, aby kwestia sankcji podlegała normalnej procedurze Rady Bezpieczeństwa. Obawia się bowiem nadużywania prawa w stosowaniu sankcji.

Rozbrojenie

— Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: 13 bieżącego miesiąca zapadła na Radzie Bezpieczeństwa uchwała utworzenia komisji dla spraw rozbrojenia. Naszych czytelników na pewno zainteresuje jak doszło do podjęcia tej decyzji i jakie jest stanowisko Polski w tej sprawie?

— W tej sprawie stanowisko nasze jest bardzo proste. Dążymy do jak najszybszego przeprowadzenia rozbrojenia. Jest to konieczne dla zachowania pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego oraz do wytworzenia przyjaznych warunków współżycia między narodami. Ponadto wyścig zbrojeń odbiłby się na ludności wszystkich krajów niezwykłym ciężarem gospodarczym.

Sprawa rozbrojenia została poruszona na Radzie Bezpieczeństwa przez przedstawiciela Związku Radzieckiego, który zaproponował stworzenie komisji dla przygotowania w terminie trzymiesięcznym szczegółowych projektów rozbrojenia. Myśl ta uzyskała poparcie wszystkich członków Rady Bezpieczeństwa, prócz Ameryki. Stany Zjednoczone zaproponowały odroczenie dyskusji nad rozbrojeniem do chwili załatwienia spraw związanych z kontrolą nad energią atomową. Według naszej opinii, rozbrojenie należy przeprowadzić natychmiast, toteż poparliśmy ostatecznie wniosek francuski. Proponuje on natychmiastowe stworzenie komisji dla rozbrojenia, jak również natychmiastowe rozpatrzenie raportu Komisji Energii Atomowej. Następnie Amerykanie przedłożyli nowy wniosek, w którym zgadzają się na powołanie komisji dla spraw rozbrojenia. Dążyli jednak do tego, aby komisja ta nie była związana z Radą Bezpieczeństwa. To było dla wielu, między innymi i dla nas, nie do przyjęcia, gdyż sprawa powinna być załatwiona na Radzie Bezpieczeństwa, a nie poza jej plecami. Ostatecznie Amerykanie ustąpili. Pozostały jeszcze pewne rozbieżności poglądów między Związkiem Radzieckim a Ameryką na temat, czy komisja rozbrojeniowa ma się również zajmować sprawą energii atomowej. Sprawa ta została zakończona zwycięstwem tezy amerykańskiej: — wyłączeniem spraw energii atomowej spod kompetencji komisji rozbrojeniowej. Trzynastego bieżącego miesiąca zapadła uchwała o utworzeniu komisji dla spraw rozbrojenia. W komisji tej biorą udział wszyscy członkowie Rady Bezpieczeństwa. Sprawami energii atomowej będzie się nadal zajmować komisja energii atomowej. W obu komisjach dołożymy wszelkich starań, żeby prowadzenie rozbrojenia przyspieszyć. Dążymy bowiem do rozbrojenia nie za lat dziesięć, pięć lub trzy, ale do rozbrojenia natychmiastowego. Wymaga tego zabezpieczenie pokoju świata.



Odprężenie w stosunkach międzynarodowych.

— A TERAZ WSZYSCY ZGODNIE RAZEM!

(„Action" — Paryż).

NOWE DROGI
OBOZU KATOLICKIEGO W POLSCE

Rozmowa z Bolesławem Piaseckim, stojącym na czele grupy „Dziś i jutro"

Przedstawiciel naszej Redakcji przeprowadził rozmowę z Bolesławem Piaseckim, redaktorem naczelnym tygodnika „Dziś i jutro", reprezentującego poglądy grup tzw. „młodych katolików". Rozmowa ta miała przebieg następujący:

— *Czy może Pan wyjaśnić jaka jest geneza grupy skupiającej się wokół „Dziś i jutro"?*

— Do zespołu ludzi, tworzących trzon redakcji „Dziś i jutro", wchodzą przede wszystkim dawni członkowie organizacji pod nazwą „Konfederacja narodu". Była to organizacja konspiracyjna o charakterze ideowo - bojowym. Część bojowa od roku 1943 prowadziła partyzantkę w ramach A. K. Część, którą nazwijmy cywilną, zajmowała się działalnością ideową i propagandową, mającą zresztą za cel głównie wspomaganie akcji bojowej. Z chwilą powstania Rządu Jedności Narodowej, pozostałość tej organizacji rozpoczęła działalność legalną, której zewnętrznym wyrazem jest właśnie „Dziś i jutro".

— *A czy poza członkami „Konfederacji narodu" współpracują Panowie z ludźmi z innych organizacji?*

— Naturalnie. W naszym zespole mamy również działaczy A. K., dawnych konspiracyjnych organizacji katolickich ,redaktorów „Walki", bojowych organizacji harcerskich, mamy również socjalistów i ludowców. Niemniej jednak jest cechą charakterystyczną „Dziś i jutro", że skupia ona w 90 proc. ludzi, którzy pracowali w takiej czy innej konspiracji. Stosunek jednak procentowy ludzi, którzy należeli do „Konfederacji narodu" do członków innych organizacji konspiracyjnych zmienił się wyraźnie na korzyść tych ostatnich, co jest zresztą przewidywanym wynikiem genezy politycznej „Dziś i jutro". Genezą tą jest wiara w konieczność, słuszność i możliwość pracy dla Polski jedynie w formach pracy jawnej i legalnej. Wierzyliśmy i wierzymy, że jest to obecnie jedyna droga do aktywizacji mas polskich o ideologii spirytualicznej tzn. katolickiej.

— *Powiedział Pan, że grupa „Dziś i jutro" reprezentuje światopogląd katolicki. Czy i w jakim stopniu wobec tego reprezentuje ona poglądy Kościoła, a w pierwszym rzędzie Episkopatu?*

— Niech pan nie zapomina, że Episkopat nie jest wykładnikiem żadnej linii politycznej. Jego zasadniczą rolą jest ocenianie wartości i skutków posunięć politycznych z punktu widzenia etyki katolickiej Dlatego też podkreślam, że prowadziliśmy i prowadzimy naszą działalność na własną, osobistą odpowiedzialność. Ocenie Episkopatu poddajemy się i będziemy się poddawać z całą lojalnością, jaka jest obowiązkiem każdego katolika. Tym niemniej wierzymy, że ocena ta nie powinna być oceną negatywną.

— *C[illegible]awdą są pogłoski, jakoby grup[illegible] „Dziś i jutro" czyniła próby utworzenia stronnictwa katolickiego w okresie przedwyborczym?*

— Tak jest. Czyniliśmy duże wysiłki porozumienia się z wszystkimi ośrodkami katolickimi. W Warszawie miało miejsce szereg dyskusji działaczy katolickich, którzy zasadniczo uznali potrzebę stworzenia takiego stron[illegible]twa.

— *Jakie [illegible] wobec tego przyczyny nieudania się tych zamierzeń?*

— Dość nieoczekiwane. Mianowicie szereg różnych czynników, do których my nie należeliśmy, uznało samo zorganizowanie stronnictwa za przedwczesne. Tym niemniej nie rezygnujemy z roli promotora i pioniera w przygotowaniu takiego stronnictwa, którego potrzeba wydaje nam się oczywista.

— *Czy może pan powiedzieć coś o najbliższych planach „Dziś i jutro"?*

— Sam tygodnik okazał się niewystarczający. Dlatego też w najbliższym czasie zakładamy dziennik.

— *Czy może pan nam zdradzić jego nazwę?*

— Będzie to „Słowo Powszechne" pod naczelną redakcją Wojciecha Kętrzyńskiego. Pierwszy numer ukaże się prawdopodobnie w ciągu trzech tygodni.

— *Jakie zagadnienia wewnętrzno-polityczne uważa pan za najbardziej aktualne w chwili obecnej?*

— Jednym z takich zagadnień jest niewątpliwie amnestia, na którą wielu ludzi czeka. Nie wątpimy, że będzie to amnestia skuteczna, tzn. taka, która ostatecznie rozładuje podziemie. Zagadnieniem następnym jest sprawa konkordatu, która nie jest sprawą prostą, która niewątpliwie wymaga dużo dobrej woli z obu stron i która przypuszczamy, że będzie poprzedzona koniecznym etapem nawiązania stosunków dyplomatycznych z Watykanem.

— *Wspomniał pan o problemie zaufania. Na czym polegają trudności na ja[illegible]ie Panowie tu napotykają?*

— [illegible] sobie sprawę, że jest wielu [illegible], [illegible] posądzają nas o „grę taktyc[illegible]ą" lub też o tendencję do „zamazywania swojej odrębności ideologicznej". Na zarzuty te odpowiedzią jest nasza działalność. Celem jej jest możliwie aktywna walka o rolę i udział postawy katolickiej w rzeczywistości polskiej. Cel ten niewątpliwie ma potencjalne oparcie w masach katolickich polskich. Choć zajmujemy aktualnie wobec rządu postawę rzeczowej opozycji—dla osiągnięcia tego celu możemy, chcemy i będziemy współpracować również z grupami akatolickimi na określonych warunkach. Łączy nas bowiem z nimi wspólne w wielu zasadniczych punktach rozumienie polskiej racji stanu, łączy nas pozytywny stosunek do przeprowadzonych zasadniczych reform socjalnych. Dzieli nas często światopogląd. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że tylko przez współpracę — na równych prawach obu stron da się — w naszym głębokim przekonaniu — osiągnąć i utrwalić stabilizację i pokój wewnętrzny. Pokój zaś dla Polski wykrwawionej, wyniszczonej wojną i okupacją jest najwyższym nakazem tego momentu historii, w którym obecnie żyjemy.

Rozmowę przeprowadził

Jerzy Renatowski



W rok potem Leon Blum wezwał do siebie ambasadora Polski w Paryżu Łukasiewicza i prosił go o przekazanie Rydzowi stwierdzenia, że dopuścił się on złamania danego słowa. Stosunki w Polsce bowiem nie uległy zmianie na lepsze, a polityka polska orientowała się nadal na Berlin. Jak to się skończyło, czym to się skończyło — wszyscy wiemy aż nadto dobrze.

„Tydzień" w nowej szacie

Najprzyjemniejsze listy do redakcji to są te, w których czytelnicy przejawiają swe zainteresowania sprawami pisma, jego rozwoju i ulepszenia. Jeden z takich listów, który ostatnio otrzymaliśmy, wymaga odpowiedzi. Nasz korespondent proponuje, ażeby „Tydzień" drukować w czterech kolorach: cztery strony kolorem czekoladowym, cztery zielonym, cztery niebieskim, a okładkę w dwóch kolorach. Oczywiście, stanowiłoby to duże urozmaicenie graficzne tygodnika. Trzeba sobie jednak uświadomić, że pismo tak drukowane musiałoby kosztować wielokrotnie drożej, niż kosztuje obecnie. Czytelnicy powinni zwrócić uwagę na to, iż pisma w Polsce są względnie tanie w porównaniu z cenami innych artykułów. A cena „Tygodnia" zaś jest niższa od ceny podobnych tygodników. Ponieważ zależy nam na jej utrzymaniu, zmuszeni byliśmy przejść całkowicie na druk na maszynie rotacyjnej, co w pewien sposób odbije się na wyglądzie pisma. Szata graficzna jednak stanowi tylko część wartości czasopisma. Sądzimy, iż Czytelnicy zmiany tej nie przyjmą niechętnie, a zwrócą uwagę na ulepszenia redakcyjne i coraz bardziej różnorodną i ciekawą treść „Tygodnia" i, że pozostaną mu wierni.

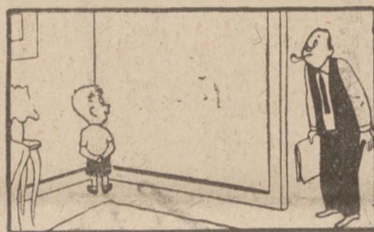
Angielski rynek pracy

Ktoś, kto chce się zorientować w angielskiej polityce populacyjnej w związku z potrzebami rynku pracy, w pierwszym odruchu gotów jest podejrzewać siebie o zupełną tępotę. Kontrolując jednak i sprawdzając wiadomości, dochodzi do wniosku, że pomyłki nie ma, dane się zgadzają, a jeśli tego, co się dzieje nie może zrozumieć, to już nie jego wina.

Dla przykładu kilka faktów, które warto zestawić. „National News-Letter" podaje, że około miliona Anglików ma zamiar emigrować, wobec tego rząd chce niezwłocznie sprowadzić najmniej 250 tys. cudzoziemców, w tym 50 tysięcy Włochów, 50 tysięcy Niemców i 25 tysięcy Austriaków. Należy to zrobić niezwłocznie, wymaga tego bowiem palący brak rąk do pracy.

Inna wiadomość, już dawniejsza: zatrudnienie Polaków na szeroką skalę, mimo że rolnictwo i górnictwo cierpi szczególnie dotkliwie na brak robotników, spotyka się ze sprzeciwem związków zawodowych ze względu na to, że kiedyś może być znowu bezrobocie.

Skala politycznej dalekowzroczności wszystkich tych decyzji przerasta istotnie zasięg rozsądku przeciętnego człowieka. Ale przeciętny człowiek, szczególnie w Anglii, chciałby wiedzieć, dlaczego rząd dopuszcza do ucieczki miliona Anglików, gdy jest ich zbyt mało do pracy w kraju, dlaczego na to miejsce chce sprowadzać swych niedawnych wrogów, którzy zgodnie z prawem nabyć będą mogli po pięciu latach obywatelstwo angielskie? Kto ma tu skorzystać i w czyim interesie się to dzieje? A może podejrzenie o bezmyślność należałoby przenieść z obserwatora na autorów tej niepojętej polityki?



— Tak, tatusiu, tego nauczyłem się dzisiaj w szkole.

(„The Humoriste")

Aung San—bohater narodowy Burmy

Jeszcze jeden naród na drodze do samodzielności — to Burmeńczycy. Kraj ich, leżący nad zatoką Bengalską, pomiędzy Indiami, Chinami i Syjamem, zaledwie w zeszłym stuleciu opanowany przez Anglików, był również w ostatniej wojnie terenem walk. Na czele młodej armii burmeńskiej stanął Aung San, wódz i bohater narodowy.

Przed wojną Aung San, student Uniwersytetu w Rangoon, aresztowany był przez Anglików za działalność niepodległościową. Z więzienia udało mu się uciec i oparł się aż w Japonii. Tam otrzymał militarne i administracyjne przeszkolenie, a z chwilą wkroczenia wojsk japońskich do Burmy, przewidziany został przez swych opiekunów na marionetkę, która by firmowała swą osobą równie marionetkowy, pseudonarodowy rząd Burmy, tańczący w takt muzyki japońskiej. Ambicja i zdolność przewidywania pupila przerosły jednak przypuszczenia opiekunów. Japończycy obiecali Aung Sanowi władzę po zajęciu przez nich Moulmein. Gdy Moulmein zostało zajęte, przesunięto realizację przyrzeczenia do chwili zajęcia Rangoonu.

Ponieważ i tym razem skończyło się na obietnicy, a szanse japońskie zdawały się nietrwałe, Aung San porozumiał się z Anglikami. Wolta się udała. Japończycy nie potrafili wykryć zdrady, czy też nie chcieli sobie zrażać całej Burmy, dość że Aung San szczęśliwie wraz ze swoimi stronnikami znalazł się w zasięgu wojsk alianckich, gdzie stworzył narodowy korpus burmeński. Po zajęciu przez sprzymierzonych stolicy Burmy popularność Aung Sana wysunęła go na czołowe miejsce w narodzie. Bohater stanął na czele Organizacji Antyfaszystowskiej i byłby pierwszą osobą w kraju, gdyby nie... gubernator, Sir Hubert Rance. Burma nie stała się krajem niepodległym. Ale to właśnie jest celem Aung Sana.

Film TYGODNIA

Na tropach mrozu

Od Warszawy do Gdyni

Takiego mrozu ponoć nie pamiętają najstarsi ludzie.

Mamy w Polsce arcymrozy.

Cała pociecha w tym, że jak twierdzi ludowe przysłowie: „Święty Maciej zimę st...”

Najtragiczniej może przeżywa okres mrozów Gdynia.

Wielki statek „Narwik” stoi w porcie skuty lodem. Załoga jego odbija lód osiadły grubą warstwą na kotwicy.





Mimo mrozów znajdujemy się już w przedsionku wiosny.

Nasi sprawozdawcy zebrali garść informacji, jak przeżywały mrozy poszczególne miasta na prowincji.

A więc Toruń przeżywał okres mrozów z olimpijskim... humorem.

Współczujący studenci Uniwersytetu Toruńskiego, wracając z balu studenckiego, wyposażyli gołą a dostojną głowę swego Patrona studencką czapką.

A oto Łódź. Tramwaj.. Rozpromieniona mimo 28 stopni mrozu konduktorka obsługuje tylko jedną jedyną pasażerkę. Przynajmniej funk-



cjonariuszka tramwaju odpocznie. W czasie mrozu jadą bowiem tylko ci, którzy muszą.

Potężny ten olbrzym chwilowo jest bezsilny.

Mimo wszystko praca w porcie wre.

Ofiarny robotnik dokonuje cudów w pracy.

Nie straszny mu mrozu czas.



Więc i my śmiejmy się, bo kto wie czy... mróz potrwa trzy tygodnie. (Fot. Brzozowski)

WARSZAWA MA NOWY TEATR



Premiera „Żołnierza Królowej Madagaskaru” w sali Centralnego Domu Żołnierza.



EUROPA W OKOWACH MROZU
Plac Vendôme w Paryżu w niezwykłej szacie śnieżnej.



Uczniowie podczas nauki w pracowni Grafiki Akademii Sztuk Pięknych prof. Bartłomiejczyka w Warszawie. *(Fot. Film Polski).*

„Wbrew prawdzie, że wielkie idee realizują się nie rychło...“

REZULTAT PRACY WSM

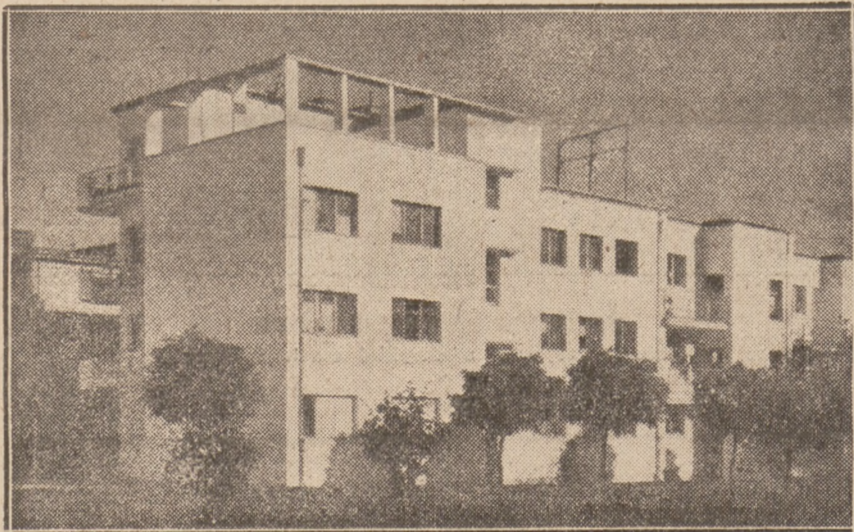
nie kazał na siebie długo czekać

W dniu 16 bm. na terenie Pierwszego Osiedla Spółdzielczego w Warszawie odbyła się podwójna uroczystość: Dwudziestopięciolecia Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej — twórczyni swego osiedla oraz dwudziestolecia oddania do użytku jej pierwszych mieszkań.



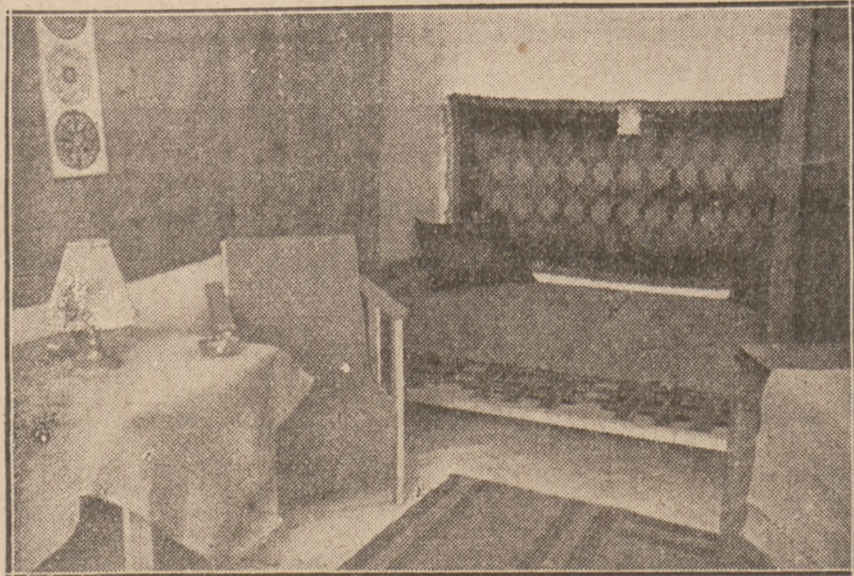
Wicemarszałek Sejmu Stanisław Szwalbe, prezes „Społem“ Jan Żerkowski, prezes Zarządu W. S. M. Marian Nowicki i prezydent Warszawy Stanisław Tołwiński przed nowozbudowanym domem Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu. Fot. Film Polski.

Inicjatywa budowy osiedli pracowniczych nie miała wielkich widoków rozwoju. Ówczesne warunki bowiem nie sprzyjały idei spółdzielczej. „Zbłądziłem wówczas — mówi Min. Odb. Kaczorowski na jubileuszu WSM-u — gdyż nie doceniłem tej inicjatywy“.



Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa dostarczyła dachu nad głową 8 tysiącom rodzin pracowniczych w trudnym okresie powojennym.

Podobnie jak to było z tkaczami roczdelskimi, skromne początki dały nieoczekiwanie doniosłe wyniki. Choć wojna zniszczyła dorobek spółdzielni w lwiej części, już dziś po dwóch latach pracy nad odbudową Osiedla na Żoliborzu, Kole i Rakowcu dają dach nad głową 8 tysiącom ludzi. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że osiedla te zamieszkiwane są tylko przez ludzi pracy zrozumiemy wagę tego wkładu w odbudowę stolicy, a tym samym całego państwa. Założeniem spółdzielni jest dostarczyć człowiekowi pracy tanich higienicznych możliwie jak najlepiej wyposażonych w nowoczesne urządzenia mieszkań. Osiedla budowane są z myślą nie tylko o zapewnieniu mieszkań pojedyńczym ludziom i ich rodzinom, ale także o stworzeniu odpowiednich warunków dla rozwoju życia społecznego i kulturalnego, co znajduje swój wyraz w budowie świetlic, sklepów, sal rozrywkowych itd.



Nawet najmniejsze mieszkanie może być przybytkiem higieny, estetyki i kultury. (Fragment mieszkania W.S.M.)

Zamierzenia twórców powiodły się dzięki temu, że plany odpowiadały potrzebom ludzi pracy, że przystąpiono do nich pomimo niesprzyjających warunków z wiarą, i wreszcie bo zapewniono sobie współpracę ekipy ludzi fachowych i uczciwych.

W. S. M. zdało swój egzamin ponad oczekiwanie nie tylko dlatego, że stworzyło ludziom dobre warunki bytowania, ale także dlatego, że stało się szkołą pracy społecznej, i ogniskiem, skupiającym koło siebie ludzi ideowych. Twórcy WSM-u są dziś kierownikami państwa polskiego. Pierwszy oficjalny dokument spółdzielni podpisany jest nazwiskami: Bolesław Bierut i Stanisław Szwalbe. Wśród rejestru założycieli widnieje nazwisko obecnego prezydenta Warszawy Tołwińskiego i współpracowali z W. S. M. Min. Kaczorowski, inż. Piotrowski, gen. Spychalski. Nazwiska nieżyjących dziś społeczników Hempla i Teoplitza też są nieodwołalnie związane z historią WSM-u.

Na uroczystość niedzielną przybyli Marszałek Szwalbe, prezydent miasta Tołwiński, miejscowy starosta Janicki.

Zebranych powitał w imieniu zarządu prezes inż. Nowicki, który omówił zasady jakie kierowały twórcami WSM-u. Marszałek Szwalbe po odczytaniu listu prezydenta Bieruta witając zebranych powiedział: „Z dumą możemy sobie powiedzieć żeśmy szli właściwą drogą“. Dalej stwierdza, że pomimo strat w materiałach i ludziach jakie poniosło WSM w czasie okupacji nie załamała się idea, dawni ludzie skupili się znowu, by kontynuować rozpoczęte dzieło, które jak widać z tego, co w ciągu dwu lat niepodległości zostało dokonane, nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.



W.S.M. uzasadnia hasło: „Spółdzielczość odbuduje stolicę“. Dodajemy: w sposób racjonalny, nowoczesny i estetyczny.

Imieniem rządu przemawiał min. Kaczorowski, oświetlając znaczenie polityczne, jakie miało skupienie w osiedlach spółdzielczych aktywnego społecznie elementu.

Prezydent Tołwiński przypomina trudne czasy, kiedy swój udział członkowie składali dosłownie... cegłami. Pomimo nieżyczliwości i niezrozumienia ówczesnych władz, zapał i praca dokonały tego, że dziś możemy ideę osiedli spółdzielczych umasowić zaś WSM promieniowaniem swoim obejmie niedługo wszystkie miasta polskie.

Imieniem central spółdzielczych przemówił prezes „Społem“ Żerkowski: mówiąc m. in. „Wbrew prawdzie, że wielkie idee realizują się nierychło rezultat działalności WSM-u nie kazał na siebie czekać“. W całej tak trudnej pracy WSM kierowała się zawsze czystymi zasadami spółdzielczymi i pomimo wielkich trudności nigdy nie było odchyleń od tej linii.

Po przemówieniu w imieniu SPB inż. Piróga i odczytaniu depesz zebrani udali się na wystawę „Najmniejsze mieszkania“.

Nowe wydawnictwa

O spółdzielczości w ZSRR

Nakładem związku „Społem“ ukazała się broszura znanego działacza spółdzielczego J. Dominki pt.: „Spółdzielczość spożywców w Związku Radzieckim“*).

Broszura ta oświetla nam jeden z odcinków społeczno - gospodarczego życia naszego sąsiada, z którym wiążą nas tak bliskie i serdeczne więzy, a który tak mało jest nam znany w metodach swej pracy gospodarczej.

J. Dominko brał udział w wycieczce spółdzielców polskich do Związku Radzieckiego, jaka miała miejsce w listopadzie ub. r.

Nas zainteresowało jedno zagadnienie, w jaki sposób przyjęte są w radzieckiej spółdzielczości spożywców zasady spółdzielcze, uznawane u nas w Polsce i w światowym ruchu spółdzielczym za podstawowe zasady spółdzielczości.

Jako te podstawowe zasady wymienimy cztery:

1) dobrowolność członkostwa,
2) przyznanie każdemu członkowi jednego głosu w sprawach spółdzielni, niezależnie od ilości wpłaconych udziałów,
3) podział nadwyżki rocznej między członków nie według klucza włożonego do spółdzielni kapitału,
4) istnienie funduszów spółdzielni niepodlegających podziałowi między członków, lecz stanowiących majątek społeczny, który nawet w razie likwidacji spółdzielni przechodzi na cele społeczne, a nie jest dzielony między członków - udziałowców.

Jak na tle tych zasad wygląda w praktyce spółdzielczość radziecka? Z broszury dowiadujemy się, że spółdzielczość oparta jest w Związku Radzieckim na zasadzie dobrowolności członkostwa, przy czym charakterystyczne jest, że do spółdzielni mogą przystąpić samodzielnie wszystkie osoby, liczące ponad 16 lat oraz szeroko praktykowane jest przystępowanie do spółdzielni wszystkich członków rodziny, a nie tylko ojca lub matki. Demokratyczna zasada równej ilości głosów na każdego członka również stosowana jest w spółdzielczości radzieckiej.

Podział nadwyżki bilansowej w polskiej spółdzielczości spożywców oparty jest na proporcji do dokonanych przez członka w spółdzielni zakupów. W Związku Radzieckim każdy członek spółdzielni uczestniczy w równej części w podziale nadwyżki. Spółdzielcy radzieccy jak twierdzi J. Dominko wyjaśniają, że zakupy członków spółdzielni zależne są od ich zarobków i od doskonałości gospodarczej spółdzielni, a nie od lojalności udziałowców i dlatego przyjęto zasadę równego podziału, a nie przyznawania zwrotów od zakupów, jak to ma miejsce w Polsce.

Wreszcie co się tyczy ostatniego punktu, to statuty spółdzielni wymagają przelania do funduszu społecznego spółdzielni co najmniej połowy czystego dochodu rocznego.

Drugim punktem zwracającym naszą uwagę jest podkreślenie przez autora dużego zainteresowania członków spółdzielni jej działalnością gospodarczą. Walne zgromadzenia członków odbywają się przynajmniej raz na kwartał. Do prawomocności walnego zgromadzenia wymagana jest obecność przynajmniej 2/3 członków, przy czym mimo żądania tak wysokiego quorum, zgromadzenia dochodzą zawsze do skutku, gdyż nie do pomyślenia jest, aby zdrowy człowiek nie przyszedł na zgromadzenie swej spółdzielni. Każdy członek udział w zgromadzeniu uważa za swój święty obowiązek i nie potrzeba tutaj stosować żadnych sankcji.

Broszura powyższa zainteresuje każdego spółdzielcę, który zanalizuje w niej różnice i podobieństwa między spółdzielczością polską a radziecką. Nie spółdzielcę wprowadzi w nowy nieznany dla niego świat zjawisk społeczno-gospodarczych i może zainteresuje przy okazji polskim ruchem spółdzielczym.

Styl jasny i zwięzły, szereg wykresów w treści czynią z tej niewielkiej broszury bardzo pożyteczne wydawnictwo.

M. W.

---

*) Broszura J. Dominki „Spółdzielczość spożywców w Związku Radzieckim“ jest do nabycia w cenie 40 zł we wszystkich księgarniach spółdzielczych, Oddziałach „Społem“ i Oddziale Księgarskim „Społem“, Łódź, Piotrkowska 5.

Kazimierz Zenon Skierski

FAKTY i CYFRY

MONTE CASSINO

W prasie polskiej toczy się od dłuższego czasu dyskusja wokół bitwy o Monte Cassino. Autor naszego artykułu K. Z. Skierski bawił kilka miesięcy we Włoszech, gdzie badał teren bitwy, jej przebieg i związane z nią wydarzenia. Jego uwagi i spostrzeżenia stanowią niewątpliwie ciekawy przyczynek w tej dyskusji.



Otwór strzelnicy bunkra (pillboksu) niemieckiego zasuwanej, cały ze stali grubości 10—30 cm.

Podjęta, a niedokończona jeszcze dyskusja obrony Warszawy, Kutna, Helu i Powstania Warszawskiego — utknęła, a utknęła między innymi dla tego, że zbyt wiele elementów wprowadzono do tej dyskusji: politycznych, strategicznych, moralnych, a nawet propagandowych. W tym zespole prób sięganie po dowody historyczne jeszcze bardziej pogmatwało wymianę myśli, zwłaszcza, że w próbie oceny polskiego „potrząsania szabelką" nie brakło i motywów uczuciowych: przywiązania i uprzedzenia. Najniepotrzebniej włączono do tego zbiornika argumentów sprawę Monte Cassino, uważając z jednej strony bitwę za dowód sławy oręża polskiego, a z drugiej za niepotrzebne, marnotrawcze „potrząsanie szabelką". Także i ten temat nie został opracowany należycie, nie wyłuskano z niego rzeczy zasadniczych. Tymczasem „sprawa Monte Cassino" usuwa się tematycznie wszystkim dotychczasowym argumentom, będąc zagadnieniem przede wszystkim strategicznym. Z tego właśnie punktu widzenia spróbuję przedstawić to, co stało mi się wiadomym po zwiedzeniu w ubiegłym roku terenu walk oraz po zapoznaniu się z materiałami dotyczącymi tej sławnej bitwy *).

KONIECZNOŚĆ STRATEGICZNA

Przypomnę najpierw pokrótce, że w końcu 1943 roku, po opanowaniu południowej Italii, ofensywa sprzymierzonych zatrzymała się na linii Ortona — Orsogna — Cassino — Minturno. Linię tę przewidziała i przygotowała do obrony strona niemiecka.

Dlaczego właśnie w tym miejscu utknęła ofensywa Sprzymierzonych? Rzut oka na mapę wyjaśnia sprawę.

*) Opierałem się na rozprawie mjra Piątkowskiego pt. „Bitwa o Monte Cassino", na „Wiadomościach" Wojskowych 2 korp. zeszyt III z 1946 r. i wreszcie na książce Wańkowicza pt. „Bitwa o Monte Cassino", która zawiera wiele materiału rzeczowego, dostępnego wówczas autorowi jako korespondentowi wojennemu.

Jest to najlepsza pozycja naturalna, jakby stworzona do obrony. Półwysep Apeniński jest w tym miejscu najwęższy, w górach mała sieć dróg komunikacyjnych. Szerokość półwyspu zajmują prawie w całości Wysokie Apeniny i góry Aurunci, między którymi przemyka się droga na Rzym wraz z niewielką, bo 10-kilometrowej szerokości doliną rzeki Liri. I na tej właśnie linii usadowili się Niemcy. Ponieważ Sprzymierzeni bali się utknąć ciągle ze swoim ciężkim sprzętem w wysokich górach, czy nad brzegiem w błotach pontyjskich (na co zresztą Niemcy liczyli), spróbowali obejść pozycje niemieckie przez sforsowanie półwyspu desantem pod Anzio. Desant nie udał się, w wyniku ostatecznym alianci z trudem utrzymali się na tej linii.

I oto od 22 stycznia 1944 roku zaczyna się walka pozycyjna wojsk Sprzymierzonych o zdobycie masywu Monte Cassino. Trzeba przyznać, że walka pozycyjna i wszystkie inne ofensywy wiele kosztowały aliantów, a nie dały rezultatu. Ale przełamanie pozycji niemieckich stawało się coraz bardziej pilną sprawą, szykowała się bowiem inwazja na Europę, a na wschodzie front niemiecki zaczął się już cofać pod naporem olbrzymiej armii sowieckiej.

Ponieważ według pierwotnych obliczeń zarówno desant, jak i przełamanie wschodniego frontu miało się dokonać jesienią 1944 roku, obecność wojsk alianckich nad Padem przewidywana właśnie na jesień, była sprawą zasadniczą. Niepozorny, zdawałoby się, punkt w najwęższym miejscu półwyspu stał się nagle problemem — potężna machina Sprzymierzonych ugrzęzła przy wejściu w 10-kilometrową dolinę rzeki Liri. W profilu Wysokich Apenin, niewielki cypel wysokości 519 metrów z bogobojnym klasztorem św. Benedykta stał się nagle centralnym punktem walk włoskich. Od zdobycia klasztoru i wzgórz przylegających zaczyna raptem zależeć nie tylko zdobycie dwóch trzecich Italii, ale i zgranie działań Sprzymierzonych na obu frontach. Dolina Liri jest nie do zdobycia. Biegną przez nią dwie linie fortyfikacyj: linia Gustawa i Hitlera, powiązane nie przeliczonym mnóstwem stanowisk obronnych niemieckich, rozsianych na wszystkich okolicznych wzgórzach.

Niemcy siedzą dobrze, panując nad całą doliną. Droga na Rzym (droga nr 6) jest nie do zdobycia. Niemcy wiedzą o tym: w wyższej szkole wojennej włoskiej zdobywanie kompleksu wzgórz Monte Cassino od dawna było klasycznym zadaniem strategii. I zgodnie uważano, że jest to miejsce nie do zdobycia. Tak też uważali i Niemcy. Uzbroili się po zęby i zaczęli obronę.

OFENSYWY

Dowództwo wojsk alianckich zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Przygotowuje starannie ofensywę. Planowe loty nad całym terenem, wywiady, zdjęcia, badanie niemal każdego kamyczka. Sieć telefoniczna 5 Armii amerykańskiej jest tak potężna, że mogłaby opasać wielokrotnie całą Polskę. W pierwszej ofensywie styczniowej przygotowawcza nawała ognia artyleryjskiego z 5 Armii wypluła w jednym 30-minutowym uderzeniu 31 tysięcy pocisków! Ofensywa odparta. 22 stycznia jedno uderzenie kosztuje Amerykanów 1002 żołnierzy z podoficerami i 48 oficerów.

Teraz zrozumiano, że jeśli zdobędzie się masyw Monte Cassino Niemcy zaczną się cofać, nie zdążą oni uzbroić się należycie na północnej „linii Gotów". Pod morderczym ogniem niemieckich pozycyj, Amerykanie wycofują się z wielkimi stratami. Potem, w lutym, przychodzi ofensywa francuska i tunizyjska. „Dwa dni bez wody, pięć dni bez jedzenia, trzydzieści jeden ataków na bagnety, dowódca pułku zabity, ranni dwaj dowódcy batalionów, zabitych 11 kapitanów, wszyscy co do jednego dowódcy kompanii zabici lub ranni. Na ogólną liczbę 40 oficerów, zabitych 23, podoficerów zabitych 162, szeregowych 1300".

Nie od rzeczy będzie dodać, że do czasu bitwy o Monte Cassino zginęło we Włoszech 15 tysięcy Francuzów, wznawiając najlepszą tradycję walk francuskich z czasów ubiegłej wojny. (Tę cyfrę należy zapamiętać). Ofensywa Francuzów dała przekroczenie rzeki Rapido i zdobycie ruin miasteczka Cassino, leżącego tuż przy drodze na Rzym. Chociaż polepszyło to sytuację Sprzymierzonych, nie zmieniło jej jednak zasadniczo — Niemcy nie ruszyli się. Po Francuzach wzięto Kanadyjczyków — skutek był ten sam. Potem, w marcu, użyto do akcji bezpośredniej Hindusów przy jednoczesnym uderzeniu wszystkich pozostałych oddziałów. Razem 9 brygad rzuconych do ofensywy: 30 tysięcy ludzi, 578 dział artyleryjskich, 514 samolotów. Przez trzy i pół godziny bombardowały one klasztor, rzucając na jego mury 1200 ton amunicji, a na najbliższe otoczenie klasztoru 1100 bomb! Wśród Hindusów znajdowali się Gurkowie, najsławniejsze wojsko świata; o zaszczyt służenia w ich pułkach ubiegali się angielscy oficerowie z najlepszych rodzin arystokratycznych. Poza nimi byli Nowozelandczycy i Maorysi. Gurkowie zajęli najtwardsze punkty oporu niemieckiego, wzgórze 593 i 444, były o paręset metrów od klasztoru — i zostali wybici niemal do nogi! Straty: w ofensywie wojsk kolorowych: nowozelandzka dywizja piechoty straciła 55 oficerów i 665 szeregowych. Hinduska dywizja piechoty straciła 3000 ludzi i nie miała już żadnych odwodów, po raz pierwszy w ciągu swego istnienia „nie osiągnąwszy celu ataku". Hinduska brygada piechoty trwała bez przerwy w akcji 8 dni. 26 marca rozwiązano korpus nowozelandzki. 13 korpus angielski musiał objąć jego stanowiska. Z wojsk kolorowych zostały niedobitki. Największe ofiary ponieśli ci dzielni żołnierze, bijąc się o sprawę Europy z wrogiem, którego przedtem nie widzieli.

PRZYCHODZI KOLEJ NA POLAKÓW

Człowiek zadaje sobie mimowoli pytanie: czyż aż takich strat trzeba było dla zdobycia niewielkiego obszaru wzgórz Monte Cassino? Czy nie można było zastosować innych posunięć strategicznych? Wszak desant pod Anzio leżał w prostej linii o 55 km, od Rzymu. Ja uważam, że można było zastosować inne plany, że można było akcję desantową rozpocząć od Genui, Livorno czy Ostii, a nie od Taranto. Jeśli jednak z anglosaską metodycznością zaczęło się na włoskiej nodze robić „pedicure" najpierw w Taranto — desant pod Anzio powinien być tak przygotowany, aby nie stał się w rezultacie zapleczem właściwej akcji pod Monte Cassino, ale akcją główną, mającą na celu zdobycie drogi do Rzymu. W wyniku bowiem walk pozycyjnych i żałosnych ofensyw, Anzio zeszło w końcu do roli „maskowniczej": udawano ofensywę na przyczółku desantowym dla zmylenia czujności Niemców pod Monte Cassino. Można było zastosować inną taktykę i zdobywszy drogę na Rzym, wydusić Niemców od północy, tzn. stworzyć im wpoprzek półwyspu — dwa fronty. Tego jednak ani Anglicy, ani Amerykanie nie przewidzieli — dlaczego, nie wiem.

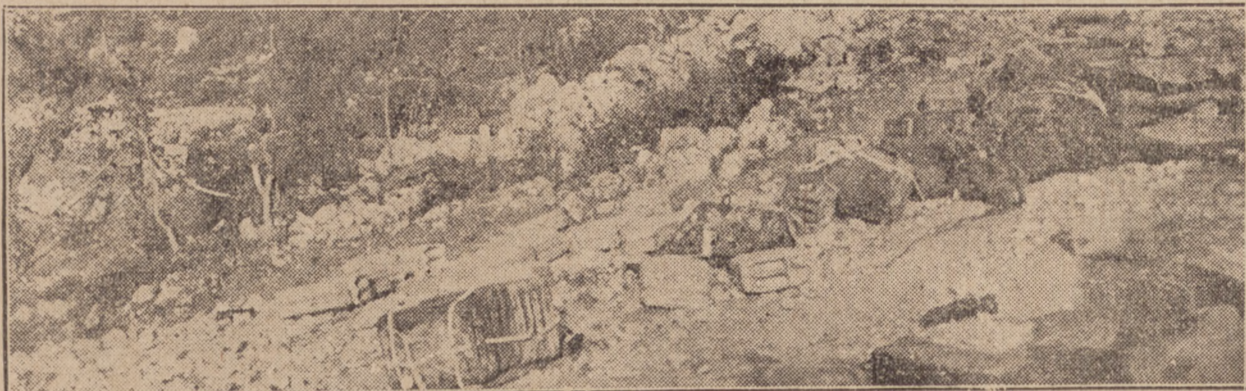


San Angelo.

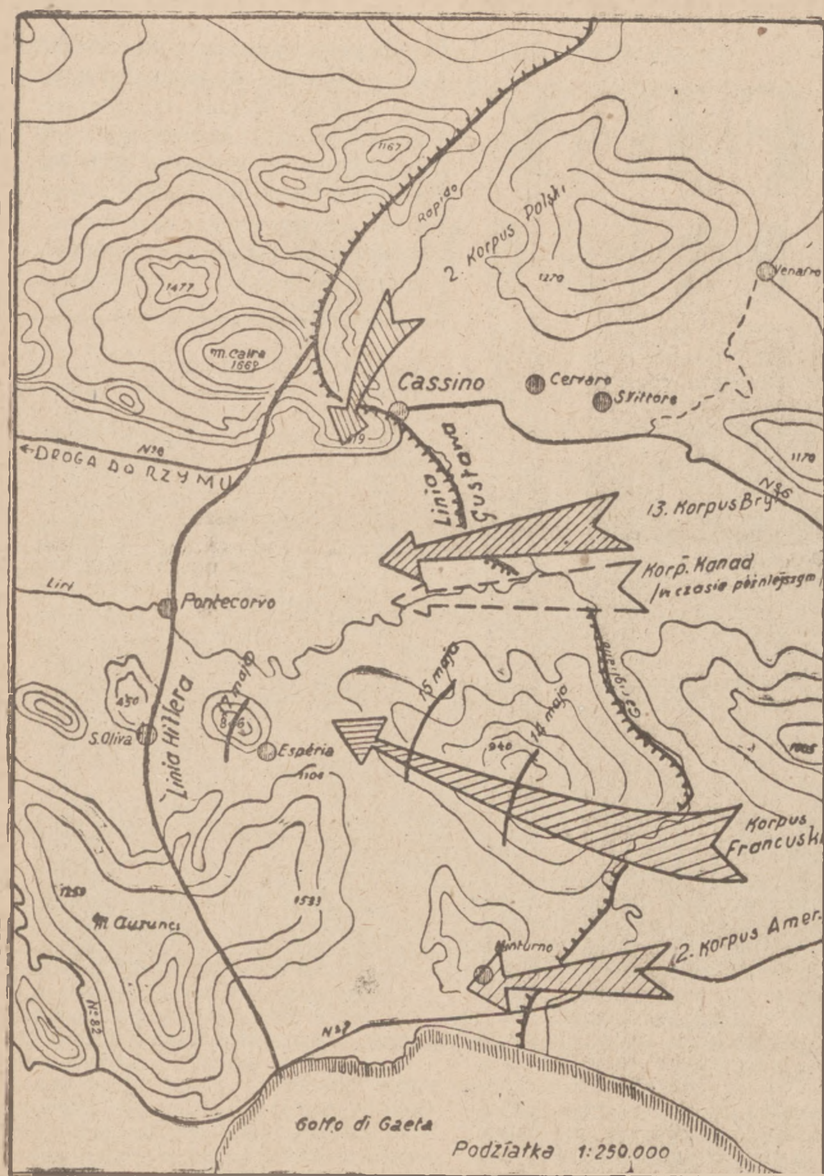
Na sztab anglosaski spada zatem odpowiedzialność za śmierć tylu tysięcy ludzi, o ile moje rozumowanie jest słuszne z punktu widzenia strategii. Planów innych nie zastosowano, być może dlatego, że wchodził tu w grę przysłowiowy angielski brak wyobraźni przy jednoczesnej niechęci do cofania się. Być może również, że dla Anglosasów była to sprawa płynąca z „poczucia obowiązku", podczas gdy dla Polaków sprawy te były o wiele bardziej skomplikowane.

Zatem po wszystkich innych narodach przyszła wreszcie kolej na polski 2 Korpus. Dlaczego by Polacy mieli się usunąć od udziału w walce, nie

(Dokończenie na str. 8)



Po ataku na „Drogę polskich saperów".



Plan sytuacyjny bitwy pod Monte Cassino.

(Ciąg dalszy ze str. 7).

widzę powodu. Żaden inny naród przed nimi nie usunął się, nie mieliśmy zresztą żadnego tytułu do względów. W dodatku na pozycjach naszych w czasie codziennych walk traciliśmy 30 żołnierzy (podczas, gdy inne korpusy traciły dwa razy tyle). Skoncentrowana ofensywa mogła być zatem bardziej „ekonomiczna" niż wybijanie nas na raty.

WALKA

Ofensywa wiosenna rozpoczęła się w dniu 11 maja od morza Tyrreńskiego aż po Apeniny. Najbardziej na zachód wysunięte 34 i 36 dywizje 5 Armii amerykańskiej miały sforsować teren aż do Terracina, przecinając linie Gustawa i Hitlera. Obok niej, następna grupa, tj. Korpus Francuski, miał sforsować góry Aurunci i oczyścić je z nieprzyjaciela. Środkową część frontu trzymał 1 Korpus Kanadyjski, który miał forsować rzekę Liri. Przedostatni nasz sąsiad z lewej, 13 Korpus Brytyjski, miał sforsować drogę na Rzym, po czym połączyć się z nami w pościgu na Piedimonte. Wreszcie wschodnie skrzydło ofensywy i kluczową pozycję objęło wojsko polskie. Jego zadanie było następujące: zdobyć wzgórza 593, 569, potem klasztor przy jednoczesnym zagarnięciu wzgórz Widmo i oba San Angelo, wreszcie w przewidywanym pościgu za nieprzyjacielem zdobyć Piedimonte, ostatnią obronną pozycję niemiecką, leżącą na linii Hitlera i położoną analogicznie jak Monte Cassino.

Uderzenie polskie, w przeciwieństwie do ofensyw zimowych, szło od północy, ale to pogarszało naszą sytuację, choć było jedynym sposobem zdobycia klasztoru, najrozsądniejszym rozwiązaniem taktycznym. Mianowicie Niemcy, mając całkowitą widoczność terenu i wgląd w każdy szczegół na pozycji polskiej, panowali bezapelacyjnie nad nami. Dość wymienić, że wzgórza 593, 569, Widmo, oba San Angelo, Passe Corno, 705, Castellone, Albanetta i co najmniej osiem innych wzgórz najeżone były bunkrami, bronią małokalibrową, „ryczącymi krowami", moździerzami, wreszcie punktami obserwacyjnymi. Wystarczyły dwie rakiety z dwóch różnych punktów krzyżujące się nad jakimś miejscem, a już na nie szedł piekielny ogień, na rozkaz punktu obserwacyjnego z Monte Caira. Cały teren był zaminowany minami przeciwczołgowymi i przeciwludzkimi. (Jest on w dwa lata po bitwie nierozminowany mimo ciągłej pracy saperów, sądzę, że za rok jeszcze będzie nadal niebezpieczny). Polacy więc, którzy uderzali od północy, musieli wejść na jakiekolwiek wzgórze, a wtedy zbierali naraz na siebie całą nawałnicę wszystkich ogni od artylerii przez moździerze do jadowitych pojedyńczych strzałów strzelców wyborowych. Najgorsza sytuacja była na Widmie, gdyż wtedy oddziały znajdowały się jakby w cebrzyku i wszystkie zbocza wszystkich wzgórz biły opętańczym ogniem. A teren był taki, że znalezienie odpowiednio wysokiej skały dla głowy było szczęściem, ale wtedy zaczynało się polowanie wyborowych strzelców. Trzeba było najwyższego napięcia woli aby w huku paruset dział, moździerzy, „krów", granatników ruszyć się zza skały i iść dalej!

Straty polskie były ogromne ale i bardzo małe zarazem, jeśli weźmiemy pod uwagę, że w dniach 11 — 13 maja 13 Korpus Angielski stracił 3.000 ludzi, nie posunąwszy się prawie naprzód. Polacy zdobyli zabójcze wzgórza 593 i 569, zdobyli nawet Widmo, ale na skutek morderczego ognia Niemców, ukrytych jak szczury w bunkrach i stalowych pillboxach o ścianach grubych ponad 15 cm, potworów, z których ani jeden nie został zniszczony ogniem artylerii — skutkiem wielkiego wykrwawienia się oddziałów, musieliśmy te wzgórza oddać. Zdobyto je w następnej fazie, a wtedy sam klasztor przestał już mieć dla Niemców znaczenie. Uciekli z niego. Polacy zdobyli następnego dnia Piedimonte, łącząc się wreszcie z poprzednimi korpusami.

Droga do Rzymu była wolna!

Jakie były straty? „Spis poległych pod Monte Cassino" obejmuje 1051 nazwisk. Sama bitwa kosztowała nas więc najmniej krwi. Do tej sumy należy dołączyć jednak straty z walk pozycyjnych od stycznia do maja. Nie znam dokładnie statystyki tych strat, ale wg. ogólnych obliczeń przekroczyły one nieco 2.500 ludzi. Była to najtrudniejsza, najkrwawsza i „najtańsza" bitwa apenińska. Przypominam przy okazji straty naszych poprzedników w tej bitwie, straty 15 tysięcy Francuzów przed tą bitwą i śmierć 200 tysięcy Polaków po tej bitwie — w Warszawie.

SPRAWY MORALNE

Pod względem wartości moralnych żołnierza polskiego, bitwa o Monte Cassino jest czymś bezprzykładnym, jest zarazem starszą siostrą Powstania Warszawskiego. To była święta wojna, uniesienie. Najszlachetniejsze odruchy i fakty poświęcenia, przyjaźni, ludzkich uczuć i dobroci, wreszcie ofiary okupowane zazwyczaj śmiercią, znajdziemy tutaj na tych wzgórzach. Gdyby kronikarz jakiś chciał zebrać najprostsze zeznania najprostszych ludzi i stworzyć z tego jedną małą książeczkę, dokument ten okupiłby wszystkie nasze błędy i pokazał istotne najszlachetniejsze cechy narodu polskiego. Możemy być naprawdę bardzo dumni z tej bitwy i z uwagi na jej znaczenie europejskie w ogólnej rozgrywce z Niemcami i dlatego, że nam pozwoliła ukazać sobie samym siebie samych.

Dziwnie zawstydzająca jest ta bitwa o Monte Cassino . Faktem było, że jeszcze przed nią chorzy żołnierze przeczuwając, że na coś się zanosi, przestali nagle meldować się u lekarzy, aby ich czasem nie zwolnili właśnie na okres bitwy. Faktem było, że podczas bitwy chorzy i ranni uciekali z okolicznych szpitali, aby wziąć udział w bitwie. W czasie walk, te wzgórza, stały się wzgórzami poświęcenia. Jeden z żołnierzy, wlokąc się na grzbiecie kilkadziesiąt metrów po skałach w dół, na piersiach dźwigał swego rannego kolegę. Dociąga do swoich trupa. Młody chłopak Gasiński, staje nagle wśród piorunowego ognia, meldując „Melduję posłusznie, że strzelec Gasiński nie żyje". Pada martwy. Inni wołają „To za Polskę" i konają z serią kul w brzuchu. Chwilami zdaje się, to nieco wydeklamowane, ale tak nie było.

Jeden z żołnierzy opowiadał mi, że znalazł parę straszliwą, Niemca i Polaka sczepionych w ostatnim uścisku. — Polak przegryzł Niemcowi gardło w tym momencie, kiedy ten wbił mu nóż w serce.

Inny, umierający, leżąc na zaminowanej drodze, po wybuchu miny, mówił do biegnących: „Przeze mnie, przeze mnie, tędy". Bo przez niego było już bezpiecznie przeskoczyć. Umarł pod butami kolegów, ale świadomie nie opuścił „placówki". Przykładów było tysiące. Ta bitwa to coś więcej niż „pomsta za bezprawie" — to wyładowanie czegoś ogromnego, trudno to nawet objąć.

Taki był jednak widać klimat tej bitwy, bo oto przykład francuski, jeszcze z czasów styczniowych ataków. 31-letni kapitan Tixier, ranny 29 stycznia, nie chce iść na tyły. Następnego dnia pocisk tak nieszczęśliwie ścina mu czoło, że pozbawia go obu oczu i nosa. Kapitan wie, że został kaleką, jest przytomny, nie chce, aby go ewakuowano poza koleją. Ewakuowany wreszcie do Neapolu wraz ze swoimi strzelcami, zrywa epolety, aby się nie wyróżniać, nie zasługiwać na względy, i podaje się za własnego ordynansa. Umiera po 12 dniach.

26 stycznia strzelcy tunizyjscy osaczeni ogniami wrogów w krzakach i błocie nad Rapido, chwycili na ramiona ciało poległego porucznika Boukkas i „szli z nim, jak ze sztandarem na bunkry".

16-go maja, kiedy czołgi polskie z szatańskim uporem wdzierają się na Widmo i niszczą gniazda niemieckich bunkrów, jakiś oszalały Niemiec zrywa się ze iska i mierząc w kadłub stalowy czołgu, wali w niego bezustanną serię. (W tym nastawieniu możemy zrozumieć ułanów szarżujących z lancami na tanki...).

To samo działo się na polskim odcinku i w tym samym wymiarze: bezustanne poświęcenie, wielkie uniesienie. Tysiące epizodów, tysiące szlachetnych odruchów, wyładowanie tak niecodziennego stylu, rycerskości, piękna patriotycznego i moralnego. Takie fakty zawstydzają przedziwnie, jest w nich coś niemal religijnego.

Wszystkie one rzucają się na człowieka, gdy się jest na polu bitwy. Ten teren staje się czymś zaskakującym. Zdawało mi się bowiem przed wyjazdem na Monte Cassino, po przeczytaniu wszystkiego, co mogłem przeczytać po polsku i po włosku na ten temat, że wejdę w wielkie przestrzenie i wielkie wymiary. Ostatecznie szatan bezsenny tej bitwy, Monte Caira, to 1669 metrów!

Tymczasem — niespodzianka, prawie zawód i zdumienie! W dniu ofensywy, od pozycji polskich, od tzw. „Domku Doktora" gdzie mieściło się dowództwo, szpital i Bóg wie co jeszcze, do pozycyj niemieckich na 593 — odległość wynosiła 200 metrów! Ale za to mina na minie! Zbocza 593 obsadzone były przez bunkry niemieckie jak przez mrówki. Gdy za „Domkiem Doktora" nabierano wody, wzgórze otwierało ogień, gdyż usłyszano brzęk łańcucha przy studni. Strącona blaszanka powodowała huraganowe ataki moździerzy! W prostej linii z tego przeklętego wzgórza do klasztoru — kilometr. Jeden kilometr! W noc ofensywy na zboczach „Ciała Węża" (wzgórze) położyła się cała dywizja. Chłop leżał na chłopie! Bractwo chodziło w gumowych pantoflach lub obwiązywało szmatami buty, aby na skale białej i dudniącej nie słyszano ich stąpnięć.

Więc tak bito się pod Monte Cassino...

OCENA

„Oddaję honory polskiemu sztandarowi powiewającemu dumnie z klasztoru-fortecy. Pewny jestem, że ten pamiętny czyn przejdzie do historii jako wspaniałe osiągnięcie oręża polskiego, a w naszej historii wojskowej na pewno zaliczony będzie do wybitnych sukcesów 8 armii. Dzielność polskich oddziałów w tych zażartych walkach oraz sposób w jaki wytrzymywały one ogień moździerzy i artylerii oraz uporczywe przeciwnatarcia były dla mnie rewelacją. Równie wspaniały był duch, jaki wykazywali oni w natarciu..."

Tak pisze gen. Lesse, ów „chłodny Anglik", który wyrżnięcie oddziału Gurków na Wzgórzu Kata określa po prostu: „Było raczej ciężko"...

A my? Bolały mnie fragmenty poprzedniej dyskusji. Jeden z najwspanialszych czynów oręża polskiego znalazł nie swoich epików, ale swoich karłów. Zdawało mi się, że niektórych ludzi boli wielkość narodu polskiego, bez względu na to, jaka ta wielkość jest. Nie wiem, czym kierowani, względami politycznymi czy też nieumiejętnością oceny faktów — dość, że odnaleźli w sobie małość i ujawnili ją w tym wkładzie wojska polskiego do pokoju Europy. A może po prostu nie znali realiów, cyfr i faktów tej najważniejszej bitwy we Włoszech? Niech będzie dla nich choć drobną korzyścią uważna lektura tego artykułu...

UCZENI NIEMIECCY PRZYBYWAJĄ DO AMERYKI



Heil! *(„Action" — Paryż).*

Jan Huszcza *Ilustr. Irena Kuczborska*

ZEMSTA czyli TRZEJ STUDENCI

Ożywiony — zrozumiałą dla uczciwych ludzi — chęcią najserdeczniejszego współżycia ze wszystkimi magister Witold Karasek w ciągu kilku bezmała tygodni głęboko zamyślał się nad sposobami zatuszowania wywołanych nieznajomością zapadnikowskich stosunków zadrażnień między nim a dyrektorową i Kwiatkowską; poza tym, jako człowiek o silnie rozwiniętym instynkcie towarzyskim, chciał dać się bliżej poznać porucznikowi oraz komendantowi posterunku.

Nie zaniedbując się w codziennych obowiązkach — jakby to uczynił na jego miejscu ktokolwiek inny — Wicio spędził kilka bezsennych nocy na dumaniu, by wreszcie dojść do wniosku, iż na platformie sztuki najłatwiej z ludźmi spotkać się i porozumieć.

Ponieważ malarstwem — poza młodzieżą, która dorywczo uprawiała je na murach i parkanach w opłakanych warunkach świetlnych, bo przeważnie wieczorami — nikt się nie interesował, przeto uwagę swoją skupił magister na teatrze, który miał swoje wspaniałe w Zapadnikach tradycje i zawsze znajdował czynnych jako też biernych wyznawców, pierwszych gromadząc na scenie, drugich na widowni domu ludowego czyli herbaciarni.



Nie wolno jej także na scenie z nikim się całować, ani też wysłuchiwać czyichkolwiek wyznań miłosnych.

Dłużej już nie zwlekając, rozesłał Karasek odręcznie napisane na welinowym papierze zaproszenia do wszystkich, którzy przypuszczalnie zechcieliby wziąć udział w przedstawieniu, planowanym na bożenarodzeniowe święta, a o łaskawą pomoc techniczną postanowił osobiście poprosić porucznika i komendanta, uzyskując po raz pierwszy możność spędzenia w ich towarzystwie kilku miłych chwil.

Miłe chwile zakończyły się bridżem, gdyż nadszedł sam burmistrz i Karasek, z dużym poświęceniem przegrywając 29 złotych, od razu uzyskał okazję do wyczerpującej wymiany poglądów na różne sprawy bieżące, dając się jednocześnie poznać w korzystnym dla siebie świetle najbardziej cenionym w miasteczku osobom. W rezultacie został z miejsca zaproszony na następną sobotę, co oznaczało, iż umiano w Zapadnikach cenić przedstawicieli kultury.

Towarzystwo wykazało także wiele zrozumienia dla spraw teatru, gdyż nawet burmistrz zgodził się, by wzięła udział w przedstawieniu jego własna żona, zaznaczając jedynie, iż ze względu na swoje eksponowane stanowisko wyklucza role pokojówek, starszych szpetnych pań, ciotek, zakochanych podlotków, kobiet głupich, kobiet upośledzonych fizycznie i umysłowo, zdradzających żon i kilka innych niesympatycznych kreacyj. Nie wolno jej także na scenie z nikim się całować, ani też wysłuchiwać czyichkolwiek wyznań miłosnych, bo to demoralizuje i często ma dalszy ciąg poza sceną, tego zaś burmistrz doświadczyć by nie chciał, bo i tak za wiele w życiu doświadczył, a raz to w drugim akcie jakiejś komedii sam musiał przekroczyć rampę, przerwać przedstawienie i zabrać oddającą się publicznie rozpuście żonę, narażając się przy tym na głupie oklaski złośliwej widowni, choć reżyser próbował jej wytłumaczyć (widowni nie zaś burmistrzowej!), iż wszystko stało się zgodnie z treścią i przebiegiem sztuki.

Karasek wypowiedzi burmistrza słuchał z niesłabnącą uwagą, ale jednocześnie do jego duszy poczęła się wkradać lekka niepewność, czy znajdzie zadowalającą cenne wskazówki rolę. Wraz z niepewnością zakradał się i zdradliwy niepokój, iż inni aktorzy oraz ich rodziny będą mieli także różne zastrzeżenia, których uwzględnienie z niemałymi powiąże się trudnościami.

Niemniej ,z raz powziętego postanowienia nie można już było się wycofywać i magister „w krótkich ale gorących słowach" — mówiąc językiem najwytrawniejszych polskich sprawozdawców gazetowych — „podziękował burmistrzowi za jego nacechowany pełnią zrozumienia stosunek do niwy teatralnej"....

A w kilka dni później na zaproszenie zgłosiło się do herbaciarni dwadzieścia siedem osób, w tej liczbie siedemnaście kobiet i dziesięciu mężczyzn, przy czym kobiety jak i mężczyźni czuli się na siłach do odtworzenia głównej roli.

Po burzliwych, trwających parę godzin naradach, zaaprobowano wystawienie „Zemsty" pióra Aleksandra hr. Fredry, pod warunkiem, iż Karasek poczyni w niej pewne zmiany i dopasuje ją do lokalnych wymogów.

Wszyscy się rozeszli, a Karasek jeszcze długo siedział w ciemności na jednym z krzeseł pośrodku sali, gdyż był tak spocony, że w obawie przed zaziębieniem, nie mógł od razu wychodzić na wiatr.

Kiedy wreszcie uznał, że pot cokolwiek ustąpił wziął laskę do ręki i znalazł się w ciemności listopadowego wieczoru.

*

Gdyby nieboszczyk hrabia Fredro, autor komedii w czterech aktach wierszem p. t. „Zemsta", przeczuł, iż dostąpi ona zaszczytu wystawienia na zapadnikowskiej scenie, na pewno napisałby ją cokolwiek inaczej przystosowując rzecz do lokalnych warunków, gdzie główne trudności zasadzały się nie w braku aktorów, których sztuka wymagała zaledwie jedenastu (z tego tylko dwie kobiety!), a właśnie w ich nadmiarze. I długo musiał Karasek zastanawiać się nad tym, jak „Zemstę" rozbudować i poszerzyć, żeby znaleźć miejsce dla siedemnastu utalentowanych kobiet i dziesięciu niemniej utalentowanych mężczyzn.

Możnaby, oczywiście, zwiększyć ilość murarzy oraz odkomenderować do mieszkań Rejenta i Cześnika nieco personelu żeńskiego w charakterze dziewek służebnych, cóż, kiedy nawet na dwu, dopuszczonych przez samego autora murarzy trudno było znaleźć kandydatów, nie mówiąc już o ewentualnych dziewkach służebnych.

Jeśli zaś chodzi o role przewidziane przez samego Fredrę, to która z pań ma grać rolę Klary, a która Podstoliny? Magister zaznaczył na marginesie, iż dyrektorowa i Kwiatkowska, lecz oczami wyobraźni ujrzał smutek na twarzy burmistrzowej, a łzy na pulchnych policzkach przemiłej żony komendanta, przy tym każda z nich wisiała na szyi swego męża, i, całując mówiła: „Ten Karasek to ohydny człowiek, poco wy się z nim zadajecie"...

A impetyczna żona Kwaśkowiaka po prostu tupie nogą wrzeszcząc: „Słyszysz, żebym ciebie z nim nigdy nie widziała!"

Podobnie zachowywało się dwanaście innych żon i zmęczonemu rozterką Karaskowi majaczyło się, jak wyszydzony, oplwany idzie po głównej w Zapadnikach ulicy Mickiewicza, a wszyscy odeń stronią i na pozdrowienie odpowiadają milczącą pogardą.



...zgłosiło się dwadzieścia siedem osób, w tej liczbie siedemnaście kobiet i dziesięciu mężczyzn.

Dodajmy do tego, iż dyrektorowa koniecznie chciała do sztuki wstawić „partie śpiewane", dependent notariusza zaś pragnął wykorzystać swoją umiejętność gry na saksofonie, oraz pokazać się w nowym sportowym ubraniu, a otrzymamy mniej więcej pełny obraz straszliwych trudności, jakie stanęły przed magistrem.

Po długich namysłach, zmierzających do ominięcia wszystkich niebezpieczeństw, magister zdecydował się na wykorzystanie własnej inwencji twórczej i dorobił do „Zemsty" dodatkowy akt, oparty na motywach znanego w Zapadnikach melodramatu „Dziewczę z chaty za wsią", co dało możność wykorzystania części aktorów w roli cyganek i cyganów.

Z dependentem doszło do porozumienia w ten sposób, że w dorobionym akcie będzie przygrywał na saksofonie, lecz w zamian zrezygnuje ze sportowego ubrania na rzecz stroju wędrownego grajka, wynajętego przez Rejenta Milczka celem dokuczenia Cześnikowi. Rolę Podstoliny przez dwa pierwsze akty miała kreować dyrektorowa, w trzecim Kwiatkowska, w czwartym i piątym zaś — burmistrzowa. W podobny sposób rozparcelowano także rolę, Klary, by wreszcie, po całym szeregu prób, dokonywanych w długie wieczory — mógł się ukazać afisz, zawiadamiający o wystawieniu w drugim dniu bożenarodzeniowych świąt... „pięcioaktowej „Zemsty" pióra znakomitego polskiego pisarza Aleksandra hrabiego Fredry w przeróbce magistra Witolda Karaska przy łaskawym udziale..." (tu następowało wyliczenie wszystkich występujących dwudziestu siedmiu osób)....

Gdy nadszedł wyczekiwany wieczór, sala domu ludowego szczelnie zapełniła się widzami, żądnymi artystycznych wrażeń. Pierwsze rzędy krzeseł zajęli najznakomitsi obywatele miasteczka, oraz najbliżsi krewni i znajomi zespołu odtwórców, w dalszym zasiedli ci mieszkańcy, o których nic ciekawego nie możemy powiedzieć, na galerii zaś tłoczyła się młodzież szkolna, co chwila psykaniem zachęcana przez swoich wychowawców do pielęgnowania męczącego milczenia.

Pierwszy akt przeszedł nadspodziewanie pomyślnie, sala milczała, ze skupieniem przyglądając się sztuce i nawet nie zanotowaliśmy ani jednej głośnej uwagi krytycznej, jakie zwykle rozlegają się w tylnych rzędach krzeseł .

Należy przy tym podkreślić przezorność magistra, który na czas trwania przedstawienia zabronił gasić lampki elektryczne wiszące pod galerią, co było podyktowane doświadczeniem: palące się lampki uniemożliwiły ewentualne próby gwizdania przy pomocy dwóch wsadzonych do ust palców. W ten sposób usiłowania zakłócenia spokoju ograniczyły się jedynie do rozsypania przez niewiadomego, jak zwykle, sprawcę w lewym kącie proszku, pobudzającego do kichania. Gdy tylko jednak zauważono zgubną obecność proszku, natychmiast rozwarto okna na mroźne powietrze i działalność zabójczego środka od razu zneutralizowano.

(Dokończenie na str. 10).



Potem zaczęli sami grać, ale nie wiadomo dlaczego, jakiś skecz, który zapamiętali z teatrzyku rewiowego w mieście wojewódzkim.

• Fragment z powieści satyrycznej, osnutej na tle życia przedwojennego miasteczka, p. t. „W Zapadnikach nad Olszanką".

ZEMSTA
CZYLI TRZEJ STUDENCI

(Ciąg dalszy ze str. 9).

Musimy tu zauważyć, iż Zapadniki pod tym względem stanowiły swoisty anachronizm i jakże były cofnięte, jeśli chodzi o postęp, który już dawno gdzie indziej wyparł łagodny proszek na rzecz probówek z gazem łzawiącym, albo żelatynowych kapsułek z cuchnącą cieczą.

Tak więc po pierwszym akcie posypały się szczere, gęste oklaski, a nawet i pierwsze kwiaty w doniczkach specjalnie na ten cel wypożyczone w jednym z podzapadnikowskich majątków.

Kiedy minęła półgodzinna przerwa kiedy w korytarzu wypalono mnóstwo papierosów a aptekarz - inspicjent przez szparę w kurtynie stwierdził, iż ponownie usiedli w swoich fotelach porucznik, burmistrz i komendant — trzecim dzwonkiem zasygnalizowano początek drugiego aktu.

Przez pierwsze dziesięć minut wszystko miało normalny, przewidziany przebieg — Cześnik toczył żywą rozmowę z Papkinem, dependent za oknem pokoju, jako rzecznik interesów Rejenta, robił kocią muzykę na saksofonie, Wacław — Kwaśkowiak acz niechętnie ale mieścił się w roli jeńca, między fotelami krzątały się dwie bratanice Klary (prywatnie żona i siostra porucznika)... — gdy nagle powstało nie wróżące prawdopodobnie niczego dobrego zamieszanie, a przebywający w tym czasie za kulisami Karasek zbladł i wyszeptał: „O, Boże!"

Zanim uczynimy to samo, musimy sobie pozwolić na maleńką dygresję. Nie pamiętamy, czy gdziekolwiek dotąd nadmieniliśmy, iż do Zapadników przyjeżdżali niekiedy na wywczasy z uniwersyteckiego miasta, oprócz wielu innych studiujących, także i trzej wieczni studenci.

Terminem wiecznego studenta określano ludzi, którzy po złożeniu egzaminu dojrzałości zapisywali się na uniwersytet, jednak bez zamiaru uzyskania dyplomu i uczynienia ze zdobytej wiedzy towaru, który potem nabywały mniej lub więcej niechętnie różne urzędy albo instytucje, dające dyplomantom posady i możliwości awansu.

Wieczni studenci bohatersko i kurczowo trzymali się maksymy pięknie sformułowanej przez pewnego pisarza zagranicznego nazwiskiem Edgar Allan Poe: „Ach, nie na wiedzy polega szczęście, lecz na zdobywaniu wiedzy!" Maksyma ta, przetłumaczona na język bardziej zrozumiały, mogłaby wyglądać w taki mniej więcej sposób: „To żadna, psiakrew, sztuka skończyć uniwersytet w ciągu czterech lat, a sztuka uczęszczać nań i nie skończyć go, psiakrew, nawet i w ciągu dziesięciu lat!"

Lata te, młodzi ludzie urozmaicali sobie należeniem do różnych zespołów, pielęgnujących tradycje życia towarzyskiego a nazywanych korporacjami ,w których obowiązywały fantazyjne, bardzo kolorowe nakrycia głowy, w święto szpady, a na codzień laski. Ludzie ci brali chętnie udział w życiu politycznym, wyrażający się we wznoszeniu w czasie różnych zebrań i wieców okrzyków „hańba" albo „zdrada" i „precz"; niekiedy udział ten przybierał formy jeszcze konkretniejsze i wtedy ciskano kamieniami w niektóre szyby wystawowe co z kolei wydatnie wzmagało zapotrzebowanie na produkcję krajowych hut szklanych.

Jeśli ci sami ludzie byli przystojni i mieli pod nosem czarne wąsiki a przy uszach na ukos podgolone baczki — to z powodzeniem dybali na wierność małżeńską niektórych pań majorowych.

Otóż i Zapadniki miały możność gościć u siebie od czasu do czasu trzech przedstawicieli tego typu ludzi wiedzy. Od kiedy jednak zaczęli oni zdobywać wiedzę i jaką, gdyby im zadać takie pytanie, to prawdopodobnie odpowiedź przyprawiłaby ich o poważniejszy kłopot, a ponieważ i tak nikomu różnych trosk nigdy nie braknie, przeto — hamując ciekawość — ograniczmy się do stwierdzenia, iż na początku drugiego aktu trzej weszli, pomimo perswazyj kontrolera, na salę i, zataczając się, wylądowali w jedenastym rzędzie krzeseł, co na razie niczyjej nie zwróciło uwagi, gdyż w Zapadnikach, zwłaszcza, w wieczory zimowe, zataczano się dosyć chętnie i często, jakoże wszyscy uważali za swój święty obowiązek popierać „Esplanadę" i inne pokrewne zakłady gastronomiczne.

W pewnym momencie, właśnie poprzedzającym ten, który stał się przyczyną nagłej bladości i szeptu „O, Boże". — trzej poznali występującego na scenie saksofonistę — dependenta i widocznie zauważyli w jego grze jakieś niedociągnięcia, gdyż zerwali się z krzeseł, żwawo ruszając w kierunku sceny z okrzykiem:

— A ty, Kazio, źle grasz !I w ogóle to wszystko nie przypomina „Zemsty"...

Teraz i my możemy sobie pozwolić na bladość twarzy, gdyż zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, trzej — których, jeśli można snuć niejasne domysły, oburzyła „Zemsta" w zbyt dowolnej interpretacji magistra — już przeleźli przez rampę, i, chwiejąc się, stanęli na deskach scenicznych:

— Kto to widział, żeby tak szargać arcydzieła literatury polskiej — zwrócili się do sali, wypędzając ze sceny dependenta oraz dwie samozwańcze według nich bratanice Klary. Kiedy zaś, na skutek zamieszania, wybiegła zza kulis przed rampę dyrektorowa z Kwiatkowską, trzej zerwali paniom peruki, motywując swój postępek tym, że są wyznawcami realizmu, zwalczającego teatr masek i peruk...

Potem — gdy według swoich pojęć nieco skorygowali bieg przedstawienia — zaczęli sami grać, ale niewiadomo dlaczego, jakiś skecz, który widocznie zapamiętali z teatrzyku rewiowego w mieście wojewódzkim.

— A cóż na to widownia? — zapytacie prawdopodobnie

W ciągu pierwszych minut na widowni można było obserwować po prostu zaskoczenie i zdumienie. Gdy zaś ochłonięto, część (ta z tylnych rzędów i z galerii) biła brawa, a część (ta, z przednich rzędów) ruszyła na scenę, żeby wyjaśnić nieporozumienie.

Nieporozumienie wyjaśniono, ale stanowczo po niewczasie: studenci zdołali opuścić salę i podobno wyjechali na zawody narciarskie do miejscowości kuracyjnej Zakopane, przedstawienie zaś „Zemsty" musiano przerwać, gdyż aktorzy z dyrektorową i Kwiatkowską na czele nie posiadali się z oburzenia, niektórzy po prostu płakali, widząc ogrom wysiłków, który — dzięki niespodziewanej interwencji trzech — poszedł na marne.

A wszystko, niestety, skupiło się na magistrze, bo panie całą winę zwaliły na niego, imputując mu nawet konszachty ze studentami.

Magister wracał do swego mieszkania ze smutną świadomością wszystkiego, na co w oczach dyrektorowej i Kwiatkowskiej po raz drugi się naraził.

Gdyby był w tej chwili ministrem, kazałby zamknąć do więzienia wszystkich studentów razem... z dyrektorową i Kwiatkowską.

Całe szczęście, iż na ulicy spotkał się z komendantem, który wcale nie zdawał się być wypadkami przejęty, gdyż wziął magistra pod ramię i życzliwie zauważył:

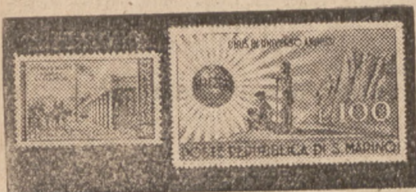
— Et, Wiciu, co się tam będziesz babami molestować! Pohałasują i tyle...

Bardzo jesteśmy wdzięczni komendantowi za słowa otuchy dla magistra Karaska i chcemy na tym miejscu dać naszemu uczuciu właściwy wyraz:

— „Panie komendancie, bardzo panu jesteśmy wdzięczni za słowa otuchy!"

JAN HUSZCZA

KĄCIK FILATELISTYCZNY



San Marino. Mała i raczej operetkowa republika San Marino wydała aż trójbarwny znaczek dla podkreślenia wagi działalności UNRRA. Znaczek o nominale 100 lirów i dużym, raczej nalepkowym formacie (60 na 34 mm), wykonany jest w kolorach: ciemnoczerwonym, ciemnopomarańczowym i ciemnofioletowym.

Stany Zjednoczone. Stulecie ekspedycji Stefana Watts Kearny'ego uczciły Stany Zjednoczone A. P. znaczkiem 3-centowym (liliowym), wyobrażającym wejście do Santa Fe, obecnej stolicy stanu Nowy Meksyk.

Luxemburg. Dorocznym zwyczajem w grudniu ubiegłego roku wyszła seria dobroczynna z wizerunkiem księcia Jana Luxemburskiego, zwanego popularnie Janem Ślepym: 60 + 40 c (zielony i szary), 1,50 f + 50 c (różowy i kremowy), 3,50 + 3,50 f (niebieski i szary) i 5 f + 10 f (brunatny i szaroniebieski). Motyw do znaczka zaczerpnięto ze starego portretu, znajdującego się w Arras.

Holandia. W końcu zeszłego roku wypuszczono nową serię z dopłatami na pomoc dzieciom: 2 + 2 c (szarofioletowy), 4 + 2 c (zielony), 7 i pół + 2 i pół c (czerwony), 10 + 5 c (lila) i 20 + 5 c (brunatny). Motywem tych znaczków jest dziecko jadące na koniu z karuzeli.

(wo)

Reprodukowanych znaczków dostarczyło nam Biuro Filatelistyczne T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 47).

OSTATNI KUPON do zgłaszania kandydatur

do nagrody „Tygodnia" za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945 — 1946

Ostateczny termin zgłaszania kandydatur do nagrody „Tygodnia" upływa z dniem 1 marca.

W związku z tym po raz ostatni w numerze bieżącym zamieszczamy kupon do głosowania. Przy kuponach nadsyłanych pocztą brać będziemy pod uwagę termin wysłania tj. datę stempla pocztowego.

Po zamknięciu głosowania nastąpi obliczenie głosów, które przedstawione zostanie Sądowi Konkursowemu.

Przypominamy, iż zasady głosowania są następujące:

1. Głosować można na wszystkie książki polskie wydane na terenie Rzeczypospolitej w latach 1945 — 1946. Wyłączone są tłumaczenia z języków obcych i wznowienia książek wydanych przed 1-ym września 1939 r.
2. Można natomiast głosować na książkę, będącą wznowieniem dzieła, którego pierwsze wydanie ukazało się na emigracji lub też jako druk podziemny w latach 1939 — 1945.
3. Każdy z Czytelników ma prawo przesłać tylko jedną kartę do głosowania, wypełniając ją co najwyżej pięcioma tytułami.
4. Głosy członków Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień" i prenumeratorów „Tygodnia" liczą się podwójnie.
5. Dziesięć kandydatur, które w głosowaniu Czytelników uzyskają największą ilość głosów, będzie przedstawionych Sądowi celem wyboru jednej książki, której autorowi przyznana będzie nagroda.
6. Gdyby Sąd Konkursowy uznał, że wśród zgłoszonych kandydatur nie ma — według jego opinii — godnej otrzymania nagrody ma on prawo wyznaczoną sumę 100.000 zł podzielić między jedną z książek, wysuniętych przez czytelników, i książkę, która nie uzyskała większości w głosowaniu lub też w ogóle nie została w głosowaniu wysunięta.
7. Czytelnicy, biorący udział w głosowaniu, których opinia co do przyznania nagrody, zgodna będzie z ostateczną decyzją Sądu, otrzymają premie książkowe z autografami autorów.

W skład Sądu Konkursowego wchodzą:

Jako przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki — wiceminister *Leon Kruczkowski.*

Jako przedstawiciele Związku Zawodowego Literatów Polskich — *Jarosław Iwaszkiewicz* i *Juliusz Żuławski.*

Jako przedstawiciel Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień" — *Jerzy Wyszomirski.*

Z ramienia redakcji „Tygodnia" — *Zbigniew Mitzner.*

NAGRODA „TYGODNIA"

za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945-1946

Zgłaszam następujące kandydatury:

1. Autor ....
   Tytuł książki ....
2. Autor ....
   Tytuł książki ....
3. Autor ....
   Tytuł książki ....
4. Autor ....
   Tytuł książki ....
5. Autor ....
   Tytuł książki ....

Imię i nazwisko głosującego ....

Adres ....

Czy jest Pan(i) prenumeratorem „Tygodnia"

Czy jest Pan(i) członkiem Spółdzielni Wyd. „Tydzień".

....

Załączony kupon należy czytelnie wypełnić i przesłać pod adresem redakcji „Tygodnia": Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

KRWIĄ SERDECZNĄ

Nakładem „Czytelnika" wyszła wielka, o 370-ciu stronach, księga, nosząca tytuł: „Historia jednego życia". Autorem jej jest Ludwik Hirszfeld, znakomity bakteriolog i serolog polski, przed wojną dyrektor Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie oraz profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Wolnej Wszechnicy, obecnie profesor uniwersytetu im. Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Prof. Hirszfeld jest to Polak pochodzenia żydowskiego, czy raczej Żyd, który się czuje Polakiem, czy może człowiek rozdarty duchowo pomiędzy dwie narodowości, jednako mu bliskie i drogie. W każdym razie powiada o sobie, że wzrósł od dziecka w tradycjach polskiej walki podziemnej (urodził się w r. 1884), w której rodzina jego ojca brała czynny udział, że pochodzi „z rodziny całkowicie zasymilowanej"; że przed wojną nie odczuwał nigdy różnicy pomiędzy „postępowym Polakiem: a „zasymilowanym Żydem".

„Historia jednego życia" — jak tytuł wskazuje — jest pamiętnikiem . Osobowość autora zarysowuje się w nim wyraziście, aczkolwiek autor nic specjalnie w tym celu nie czyni, ażeby scharakteryzować siebie lub przedstawić w jasnych barwach czytelnikowi. Opowiada zwyczajnie o swym życiu i swych przeżyciach, i występuje w tym świetle jako człowiek pod każdym względem wyjątkowy: i jako uczony i badacz o nazwisku europejskim, i jako charakter. Jest to człowiek mądry głęboką mądrością życia i tą pokorną mądrością, jaką daje prawdziwa wiedza, o której zawsze sądził, że „może uczynić człowieka lepszym". Jest to człowiek szlachetny, dobry i prosty. Jego dobroć i prostota promieniują z księgi w sposób tak naturalny, jak kwiat wydaje wonność. Z mądrością, dobrocią i prostotą łączy się, jak wiadomo, zdolność rozumienia ludzi i życia oraz dar przebaczania. Ponadto prof. Hirszfeld jest poetą, i nie w tym sensie, żeby układał wiersze, lecz poetą w pierwotnym znaczeniu słowa czyli człowiekiem wrażliwym i czułym na wszystkie przejawy życia, tęskniącym do ideałów, miłującym ludzi i umiejącym najzwyklej a przecie mocno i z przekonaniem wyrazić swoją prawdę i prawdą tą zdobywać serca ludzkie. Jego styl pisarski jest najprostszy: zasadza się na trudnej umiejętności określania rzeczy ich właściwym imieniem — wedle wskazówek niejako Flauberta, który powiedział: jeżeli chcesz napisać, że „pada deszcz" — pisz: „pada deszcz", lecz nie pisz nigdy, że „strumienie wody leją się z nieba na ziemię".

Pamiętnik prof. Hirszfelda składa się z dwóch części: część pierwsza, mniejsza, obejmuje jego życie i działalność do chwili wybuchu wojny obecnej czyli do września r. 1939; część druga — obszerniejsza — opowiada o wojnie i kończy się na listopadzie r. 1944. Część druga jest bardzo ważna — napisana, jak powiada prof. Hirszfeld, „krwią serdeczną", w walce „o pewne hasła i pewne idee", oczywista, o takie idee, jakie może żywić prawdziwy humanitarysta. Każdy inteligent polski i żydowski, który chciałby przetrawić w sobie pewne bolesne sprawy, uporządkować je i porozumiewać się wzajemnie uczciwym językiem szczerości i człowieczeństwa, powinien przeczytać „Historię jednego życia" lub co najmniej jej część drugą, od rozdziału „Przed burzą", aż do dwóch ostatnich pt.: „Punkt zwrotny narodu żydowskiego" i „Wielka wina".

Niestety, krótki felieton tygodniowy nie pozwala na szczegółowe omówienie księgi, która liczy 370 stron i zawiera tyle faktów i tyle myśli, że możnaby o nich rozprawiać dniami. Takie rozdziały „Historii" jak: „Miasto śmierci" (ghetto warszawskie) lub „W cieniu kościoła Wszystkich Świętych" (na placu Grzybowskim) można odczytywać kilkaktrotnie i medytować nad nimi nieskończenie. Albowiem prof. Hirszfeld w lutym r. 1941 odstawiony został wraz z rodziną do ghetta. Z rozkazu władz niemieckich przyszła po niego policja granatowa. Oto jak pisze o tym fakcie miłośnik prawdy: „Byli to policjanci z Saskiej Kępy, znali nas od wielu lat, żona leczyła ich dzieci. Zachowywali się z idealną delikatnością. Starszy przodownik, całując moją żonę po rękach, mówił, że wolałby chwytać bandytów, niż robić nam taką przykrość". Polak w ogóle, gdy czyta pamiętnik prof. Hirszfelda, doznaje szacunku i podziwu dla jego sprawiedliwości i bezstronności. Weźmy dla przykładu charakterystykę ks. prałata Godlewskiego, proboszcza od Wszystkich Świętych: „Prałat Godlewski. Gdy wymawiam to nazwisko — pisze prof. Hirszfeld — ogarnia mię wzruszenie. Namiętność i miłość w jednej duszy. Ongi bojowy antysemita, kapłan wojujący w piśmie i słowie. Ale gdy los zetknął go z tym dnem nędzy, odrzucił precz swoje nastawienie i cały żar swego kapłańskiego serca poświęcił Żydom. Gdy pojawiała się jego piękna siwa głowa, przypominająca oblicze Piotra Skargi z obrazu Matejki, w miłości i pokorze schylały się przed nim głowy. Kochaliśmy go wszyscy: i dzieci, i starcy, i wyrywaliśmy go sobie na chwilkę rozmowy. A nie skąpił siebie..." Podobnie opisany jest wikary prałata Godlewskiego — ksiądz Antoni Czarnecki, i wielu innych Polaków, z którymi prof. Hirszfeld miał możność zetknąć się w ghetcie, jak — powiedzmy — „wierna służąca sędziego Lindenfelda, aryjka", co to nie chciała opuścić w ghetcie rodziny sędziego, albo mgr. Potocki, który wyratował z ghetta prof. Hirszfelda „bez względu na koszta", przygotowując po tamtej stronie samochód. Udał się nim prof. Hirszfeld na Żoliborz do państwa Kiełbasińskich; obracał się potem i wśród chłopów polskich na wsi i „w arystokratycznym i konserwatywnym dworze". Widział dużo: i antysemityzm i niezwykłe poświęcenie się Polaków, którzy ukrywali Żydów, wiedząc, co ich może za to czekać od Gestapo.

Felieton się kończy. Dobrą i mądrą książkę, która by pragnęła leczyć ludzkie rany duchowe i jednać ludzi, anonsuję czytelnikom. Może wywoła szerszy oddźwięk, może odgłosy w listach do redakcji, w dyskusji.

JERZY WYSZOMIRSKI.

TEATR I KINO

KRONIKA KULTURALNA

Na scenach łódzkich

„Ożenek" i „Oświadczyny"

Komedie Gogola: „Rewizor" i „Ożenek" należą do czołowych pozycji klasycznego repertuaru rosyjskiego. Pierwszy brulion komedii pt. „Kandydaci do ręki" miał Gogol gotowy już w roku 1833 i czytał go w pałacu Zimowym u Smirnowej Rosseti. Akcja tej sztuki toczyła się w wiejskim dworku; była to raczej krotochwila z życia ziemiaństwa rosyjskiego. Po kilku przeróbkach nadaje swej komedii ostateczną formę w 1842 r., wprowadzając nowe postacie, przenosząc akcję do miasta oraz zmieniając tytuł na „Ożenek".

Komedię tę wystawił ostatnio Teatr Powszechny (TUR) w Łodzi. Bohaterami sztuki są urzędnicy i kupcy. Agafia Tichonowna, córka zamożnego kupca, panna na wydaniu, właścicielka „piętrowej kamienicy z oficynami" i ogrodem, szuka kandydatów do swej ręki za pośrednictwem matki. Przy czym wymaga, aby przyszły małżonek posiadał tytuł szlachecki.

„Ożenek" to dobra komedia obyczajowa i komedia charakterów, to satyra społeczna atakująca: pospolitość, tępotę i chciwość ludzką. Jest to jednak sztuka „nieprzetłumaczalna" na nasze warunki, gdyż tego rodzaju typy jak: swatka, Podkolesin, Anuczkin, czy Jajecznica, typowe dla ówczesnej Rosji, nieznane i niezrozumiałe są dla nas. Na to, żeby publiczność nasza oceniła dobrze wartość sztuki, należałoby bohaterów „Ożenku" uwspółcześnić lub przedtem wyjaśnić publiczności charakter typów i tło epoki. Tym bardziej, że w reżyserii Szletyńskiego „Ożenek" wypadł jako groteska. Daje się odczuć brak kolorytu w sztuce. Widać tylko śmieszne, groteskowe, karykaturalne postacie, niezgodne „ze sceniczną prawdą" Gogola. Najbardziej rażąco i niezrozumiale wypadła swatka „typ specyficzny dla układu warunków życiowych ówczesnej Rosji". Taka swatka była mile przyjmowana w domach kupieckich, gdyż była pośrednikiem między szerokim światem a zamkniętym w sobie domowym środowiskiem kupieckim. Z pośrednictwa swego ciągnęła zyski, toteż dbała o dobre stosunki towarzyskie. Musiała się odznaczać rozwagą i wstrzemięźliwą powagą. Tymczasem w reżyserii Szletyńskiego swatka wypadła jako „ wulgarna kumoszka o manierach handlarki rynkowej, krzykliwa i rzucająca się" jak np. w scenie z Jajecznicą lub Koczkariewem, którzy reprezentowali sferę szlachecką, powinna się więc zachowywać nieco uniżenie. Poza tym swatka nie mogła się zjawić w domu kupieckim w kapeluszu, bo uważano to za nieprzyzwoitość i nie wpuszczonoby jej do domu. Stare panny lub wdowy w sferach kupieckich miały zawsze włosy przykryte czarną, specjalnie wiązaną chustką. „Nieprzykryte włosy uważano za hańbę". Nieżonaty kupiec mógł nosić tylko wąsiki i małą bródkę. „Wielka broda przysługiwała tylko żonatym i dzieciatym". Tymczasem Starikow ubiegający się o rękę Agafii nosi długą, rozłożystą brodę. Są to braki wynikające z nieznajomości obyczajów, panujących w ówczesnej Rosji.

Jako dodatek do „Ożenku" wystawił Teatr Powszechny „Oświadczyny" Czechowa. Jest to, jak sam poeta nazywa, „żart" jednoaktowy napisany w 1889 r. a więc w pełni rozwoju okresu twórczego Czechowa. Żartów takich napisał Czechow wiele i cieszyły się one i cieszą wielkim powodzeniem na scenach rosyjskich. Krytycy Czechowa uważali jednak, że bardziej odpowiednia nazwa dla tego rodzaju utworów to „vaudeville". U nas nazywają się one „komedyjkami" lub „krotochwilami" i grane są na estradach kabaretowych, rewiach, w świetlicach — nigdy na poważnej scenie. W „Oświadczynach" Czechow uwypukla skąpstwo i chciwość ziemian. Spór o to, do kogo należą „łęgi", a więc niskie miejsca nad rzeką, zarosłe drzewami i wikliną, zalewane wodą, oraz o to czy pies Ujadaj jest lepszy od Otkadaja doprowadza Czubukowa, jego córkę Natalię i sąsiada ich Łomowa do pasji, wymyślań, uniemożliwiając załatwienie ważnej sprawy życiowej, jaką miał być związek małżeński pomiędzy Łomowem a Natalią.

Lechita



Kapitalny humor Gogola święci triumfy w sztuce „Ożenek", wystawianej przez teatr T.U.R. w Łodzi. Na scenie: Świder ski, Kaczmarski, Leszczyński, Bogucki. *(Fot. Film Polski).*



Aleksander Zelwerowicz w „Oświadczynach" Czechowa, wystawianych przez teatr T.U.R. w Łodzi.

APOTEOZA SZPIEGA

NIEPOTRZEBNY FILM NA POLSKIM EKRANIE

Dziś dla rozmaitości nie o teatrze pomówimy, ale o kinie.

Jedno z kin warszawskich pokazało nam angielski film kolonialny „Gunga Din". Film jest szmirowaty, nie ma tam ani dobrych aktorów, ani pięknych zdjęć, artyści nie wiedzą, jak go grać, i wahają się między groteską a melodramatem. Jednym słowem nie byłoby o czym mówić, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze — zrywając z wiecznym „dzikim zachodem", film ukazuje nam treść, rozgrywającą się w dalekich Indiach, a scenariusz opracowany jest podług opowiadania Kiplinga, a po drugie prowadzi się na niego tłumnie wszystkie warszawskie szkoły.

Istotnie, filmów dla młodzieży jest niezmiernie mało. „Gunga Din" ma frapującą treść i zaspokaja głód przygody, ukazując odmienne środowisko heroicznych i wesołych żołnierzy kolonialnych. Ależ ta treść... Więc najpierw, kto to jest sam Gunga Din? Jest to induski nosiwoda, który idzie w trenach angielskiego pułku, stacjonującego w Indiach. Na Anglików napadają tubylcy, ale Gunga Din ostrzega w porę żołnierzy, a że pasjami mu imponują ci cudzoziemcy i marzy o tym, żeby nosić karabin, że przy tym brak mu całkowicie narodowego uświadomienia a duszę ma prostacką choć zdolną do uniesień, ratuje cały pułk od niechybnej zguby i sam zginie.

Zapewne, Gunga Dinowie niezmiernie są zawsze i wszędzie przydatni, Anglicy zawsze chętnie się posługiwali zdrajcami i odszczepieńcami, a ich polityka kolonialna, oglądana choćby tak tylko, jak się przełamuje w dziełach ich pisarzy, Rudyarda Kiplinga, czy fałszywie zupełnie u nas ocenianego Edgara Wallace'a, oparta była właśnie na mistrzowskim wykorzystywaniu sił miejscowych. I byłoby wszystko w porządku, gdybyśmy byli Anglikami. Tymczasem jesteśmy Polakami, wcale by nam w smak nie poszło, gdyby ktoś gloryfikował niezmierne wobec Niemców zasługi volksdeutschów.

Sam Kipling występuje w filmie przy końcu, nie wiem, czy we własnej, niedawno zmarłej osobie, jako ucharakteryzowany aktor. To czarniawy człowiek w średnim wieku, podobny do Chaplina. Każdy z nas był w dzieciństwie pod urokiem jego cudnych opowiadań, jego Mowglich, Kimów czy innych młodych Indusów, i każdy procesował się z nim w wieku młodzieńczym, łamiąc subtelne czary. Bo Kipling, to bardzo subtelny truciciel, tym subtelniejszy że wierzący w skuteczność swoich mikstur. Jakichże on nie szuka pretekstów, by uczynić sympatycznymi swoich zaprzedanych złej sprawie bohaterów. Apeluje do naszego poczucia solidarności, do naszego honoru: jakiż on szlachetny, ten młody, kolonialny żołnierz, który w niebezpieczeństwie nie porzuca towarzyszów. Do naszego poczucia demokracji: jakiś on dobry, jaki biedny, ten nosiwoda Gunga Din. Do naszego zamiłowania w sportach i grach: cóż to za wspaniała, jaka wielka, ta gra, prowadzona przez młodych Kimów przeciwko ich ciemnoskórym rodakom.

Rozmawiałam z kilkoma chłopakami, którzy film oglądali: całe szczęście że nie byli jeszcze w tym wieku, żeby dokładnie zrozumieć treść obrazu, to co z niego zapamiętali, to tylko zewnętrzność, bitwy, przygody, egzotyka. Nie wytaczam też procesu naszym szkołom: jest posucha na filmy dla młodzieży, to fakt.

Ale postawić młodzież przed tym filmem bez słowa wyjaśnienia, to się naprawdę nie godzi. Tym bardziej, że jest okazja do ładnej i wysoce kształcącej lekcji.

Wanda Melcer

HEJ, HEJ, UŁANI, malowane dzieci, żadna już za wami panna nie poleci! — W ten sposób możnaby zmodyfikować popularną piosenkę. Nie poleci — dlatego, że ułani przestali istnieć. Oto „Polska Zbrojna" (Nr. 38/636) donosi, że z rozkazu Naczelnego Dowództwa W. P. — „z uwagi na konieczność realizacji Trzyletniego Planu Sytości i poczynienia jaknajdalej idących oszczędności" kawaleria polska — z wyjątkiem pocztu sztandarowego przy osobie Prezydenta Rzeczypospolitej — została rozwiązana. „Konie kawaleryjskie pójdą na Ziemie Odzyskane, aby pomagać w pracy osadnikom wojskowym". W artykule „Polski Zbrojnej" czytamy dalej, że w Legionowie k/Warszawy odbył się ostatni kawaleryjski apel: „na uroczystości pożegnalnej panował wesoły nastrój — taki prawdziwie kawaleryjski". Co do „wesołości", może jest w tym przesada. Niejednemu musiała się chyba kręcić łza w oku, gdy żegnał tę broń, która się w historii naszej okryła nie więdnącą nigdy sławą; której patronem był rycerz bez zmazy — książę Józef Poniatowski. Cóż jednak począć? Tout fuit, tout passe — jak mówi poeta: wszystko przemija. W epoce czołgów, motoryzacji i bomby atomowej kawaleria staje się zapewne przeżytkiem, jak przeżytkiem stawali się niegdyś procarze, łucznicy, rycerstwo w stal zakute, husaria nasza z szumiącymi skrzydłami. Wszystko ma swój czas. Ale dlaczego „Polska Zbrojna" akt rozwiązania jednostek kwaleryjskich nazywa „rozformowaniem"? Jest to dziwoląg językowy, obcy polszczyźnie. Nie zna go żaden słownik języka polskiego. Nie wypada, ażeby organ urzędowy Wojska Polskiego zachwaszczał język polski barbaryzmami.

●

KAZIMIERA KOSIŃSKA dokonywa w jednym z pism jak gdyby próby „ubronzowania" Zegadłowicza, jak gdyby wiwindowania na piedestał dwóch jego powieści — „Zmór" i „Motorów", które na krótko przed wojną narobiły tyle hałasu. W „Zmorach" mianowicie widzi Kosińska „zdzieranie bez litości zasłony obłudy i zakłamania z różnych dziedzin naszego życia obyczajowego i społecznego", a w „Motorach" — „piętno wyraźnego ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem narastającego faszyzmu i zapowiedź bezkompromisowej z nim walki". Wydaje się, że podobne ujęcie osobowości Zegadłowicza jest zbytnim uproszczeniem psychologicznym (a może psychoanalitycznego i nawet psyhiatrycznego) zagadnienia, jakie stanowi ten osobliwy i oryginalny pisarz, który od swojego mistycyzmu i „świątkostwa", od żarliwego a nawet fanatycznego katolicyzmu odbył drogę do... trudno, użyjmy przykrego słowa — do swego rodzaju pornografii. A może, jak to widzimy na przykładach niektórych „mistyków", demon cielesności lubi istotnie obierać sobie ich dusze na mieszkanie? Twórczość Zegadłowicza jest zawiła, pełna dziwacznych i chorobliwych niespodzianek. Wymaga subtelnego i umiejętnego opracowania krytycznego.

●

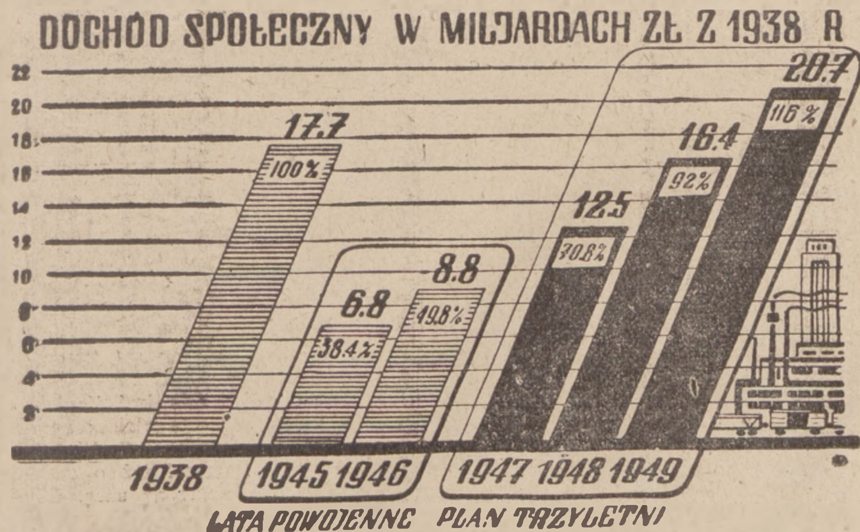
GEBETHNER I WOLFF obchodzi w roku bieżącym dziewięćdziesięciolecie istnienia. Jest to jedna z najstarszych firm księgarsko - wydawniczych (a może najstarsza) w Polsce, założona w r. 1857. Przed dziesięciu laty, gdy obchodziła 80-tą rocznicę, wydała była swoją piękną księgę pamiątkową, opracowaną przez znanego bibliologa i bibliofila prof. Jana Muszkowskiego. Ileż ciekawych szczegółów z historii naszego księgarstwa, ile cennego materiału anegdotycznego z życia wielu naszych znakomitych pisarzy mieliśmy w tej księdze! Nie było bowiem, jak się zdaje na przestrzeni 80-ciu lat autora polskiego, którego by nie wydawał lub z którym nie prowadził interesów księgarskich Gebethner i Wolff. I który by się nie wykłócał z firmą o honoraria. Osobliwie czuły na pieniądze był Kazimierz Tetmajer, który się oburzał, że za swoje poezje dostaje mniej niż niezwykle popularna wówczas Konopnicka, i zazdrościł Sienkiewiczowi dochodów. Miał zresztą czego. Okazuje się, że Sienkiewicz otrzymał ostatecznie za „Trylogię" 30 tysięcy rubli w r. 1901. Wynosiło to jakieś 150 tysięcy złotych przedwojennych. Dziś stanowiłoby to pewnie miliony. Dobre więc bywały niegdyś czasy dla literatów.

St. Łatka

Marian Weralski

PLAN TRZYLETNI
W SEKTORZE SPOŁDZIELCZYM

Rok 1946 upłynął pod znakiem przygotowania Narodowego Planu Gospodarczego na okres 1947 — 1949, zwanego popularnie „planem trzyletnim". Prace wstępne nad tym planem trwały blisko półtora roku, w którym to okresie gospodarka nasza kierowała się szeregiem krótkich, odcinkowych planów obowiązujących w poszczególnych gałęziach gospodarki. Wrzesień 1946 r. przyniósł wreszcie uchwałę Krajowej Rady Narodowej, akceptującą wytyczne jednego planu wspólnego dla całej gospodarki Polski i to na okres długi, bo obejmujący aż 3 lata.



Trzyletni plan gospodarczy składa się właściwie aż z siedmiu planów zasadniczych, obejmujących następujące zagadnienia:

a) produkcje (przemysłowe, rolne i usług)
b) inwestycje
c) konsumcja
d) zatrudnienie
e) import i eksport
f) gospodarka materiałowa
g) finanse.

Wzajemne powiązanie i skoordynowanie powyższych zagadnień, a więc zatrudnienia ze wzrostem produkcji, wzrostu produkcji z inwestycjami i zapotrzebowaniem materiałowym itd. daje nam plan obejmujący całokształt odbudowy gospodarczej kraju na okres trzech najbliższych lat.

Trzyletni plan gospodarczy w całej swojej konstrukcji oparty jest na dążeniu do następujących osiągnięć:

a) osiągnięcie przedwojennego dochodu społecznego
b) podniesienie stopy życiowej szerokich mas pracujących
c) scalenie ziem odzyskanych z resztą kraju
d)repatriacja Polaków do kraju.

KRZYWA WZROSTU DOCHODOWEGO KONSUMOWANEGO NA GŁOWĘ (Rys. 2)

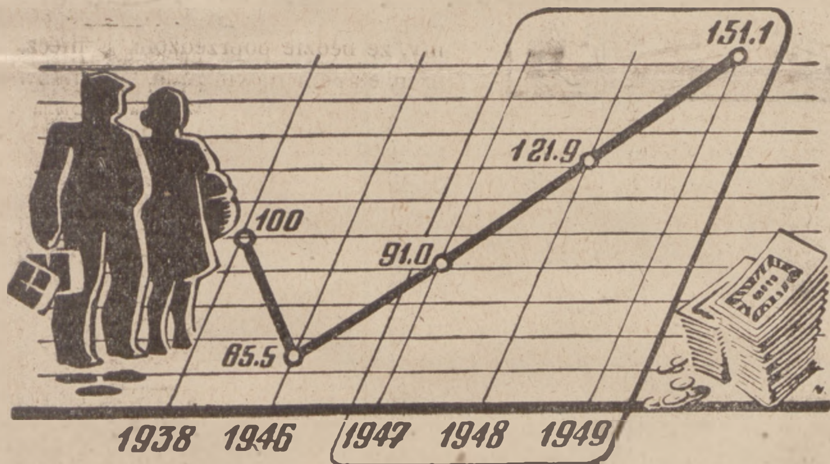


TABELA ROCZNEGO SPOŻYCIA NA GŁOWĘ (Rys. 3)

	1938	1946	1949
CUKIER w kg	12.2	7	17.7
JAJA sztuk	114	90	365
MĄKA PSZENNA w kg	43	15	47
TŁUSZCZE ZW. w kg	3.4	3	8.8
TKANINY BAWEŁN. w metrach	10.8	6.9	11.1
TKANINY WEŁNIANE w metrach	1.1	0.8	2.2
SKÓRA na OBUWIE wskaźnik 100	100	26	90
PAPIEROSY sztuk	268	209	689

Zatrzymując się chwilę nad pierwszym zagadnieniem, należy stwierdzić olbrzymi spadek dochodu społecznego po wojnie na skutek zniszczeń wojennych i długiego okresu ciężkiej okupacji hitlerowskiej. Zniszczenie fabryk, transportu, rabunkowa gospodarka okupanta na odcinku hodowlanym itd. doprowadziły do tego, że ogólny dochód społeczny w 1945 r. wyniósł równowartość 6,8 miliardów zł przedwojennych, podczas, gdy w 1938 r. ogólny dochód społeczny osiągnął kwotę 17,7 miliardów zł. Odbudowa przedwojennej skali dochodu społecznego jest jedną z wytycznych planu trzyletniego.

Poniższa tabelka przedstawia cyfry wzrostu dochodu społecznego według planu trzyletniego:

Rok		dochód spół w miliard. zł z 1938 r.	wskaźnik proc.
Rok	1938	17,7	100
lata powojenne	1945	6,8	38,4
	1946	8,8	49,8
plan trzyletni	1947	12,5	70,8
	1948	16,4	92,6
	1949	20,7	116,5

Jeszcze wyraźniej tendencję planu uzmysłowi nam wykres pierwszy:

Drugim celem planu trzyletniego jest jak wspomniano podniesienie stopy życiowej szerokich mas ludności pracującej. Spadek dochodu społecznego musiał się odbić na poziomie życia ludności. Wprawdzie w dochodzie społecznym uczestniczy obecnie przeszło 10 milionów mniej ludzi niż przed wojną, ale spadek dochodu społecznego był silniejszy i wskutek tego poziom życia obniżył się. Moglibyśmy przykładowo powiedzieć, że w 1938 r. na 30 ludzi mieliśmy 30 bochenków chleba do podziału, a w 1945 r. wprawdzie ludzi jest mniej, lecz chleba jeszcze mniej, bo na 20 ludzi wypadło 10 bochenków chleba do podziału. Zwiększenie dochodu przeznaczonego wyłącznie do konsumcji, to dalsza tendencja przyświecająca planowi trzyletniemu.

Z wykresu drugiego wynika, że w 1949 r. dochód konsumowany na człowieka powinien być o połowę wyższy niż w 1938 r., czyli, że poziom życia już po zbiorach 1948 r. powinien przekroczyć stan przedwojenny, aby w 1949 r. być przeciętnie o połowę wyższym, niż przed wojną.

Tabelka trzecia podaje przykładowo spożycie roczne szeregu artykułów na głowę ludności w latach 1938, 1946 i 1949, gdzie pierwsze dwie rubryki są rzeczywiste, trzecia zaś planowana.

Jak z powyższego zestawienia wynika wzrost konsumcji będzie różny w różnych dziedzinach. W 1949 r. papierosów powinno być 3 razy tyle co przed wojną, jaj trzy razy tyle, a skóry na obuwie jeszcze jednak nieco mniej niż przed wojną. Przeciętny jednak poziom spożycia powinien podnieść się o połowę.

Dwa pozostałe cele planu trzyletniego nie wymagają specjalnych wyjaśnień. Jasnym jest jednak, że poza powyższymi zasadniczymi wytycznymi planu trzyletniego, ma on szereg dalszych celów na względzie, jak np. stworzenie możliwości odpływu ludności wiejskiej do miast, do przemysłu i rzemiosła; podniesienie poziomu gospodarki rolnej przez upowszechnienie maszyn rolniczych, nawozów itp.; elektryfikacja; rozwój gospodarki hodowlanej; upowszechnienie oświaty itd. Wszystkie te cele mieszczą się jednak w granicach zanalizowanych powyżej wytycznych.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Specjalizacja czy uniwersalizm

INTERESUJĄCA DYSKUSJA O PLANACH SPÓŁDZIELCZOŚCI WIEJSKIEJ

Jednym z najbardziej aktualnych zagadnień spółdzielczości jest obecnie zagadnienie struktury ruchu spółdzielczego na wsi. Zagadnienie to można by sprowadzić do problemu specjalizacja czy uniwersalizm.

Dotychczas jak wiadomo specjalizacja wsi nie była zbyt daleko posunięta, tym niemniej na wsi działało szereg typów spółdzielni, a w szczególności spółdzielnia spożywców, dostarczająca swym członkom artykuły żywnościowe i inne artykuły pierwszej potrzeby, związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego, spółdzielnia rolniczo - handlowa skupująca od rolników ziemiopłody i dostarczająca im przedmioty potrzebne dla ich gospodarstwa rolniczego, spółdzielnia mleczarska, zbierająca i przerabiająca mleko, spółdzielnia kredytowa. Ostatnio coraz bardziej rozwijające się zagadnienie specjalne dawało bodziec do tworzenia specjalnych spółdzielni, jak spółdzielnie zielarskie, warzywniczo-ogrodnicze, spółdzielnie zdrowia itd.

Zagadnienie, czy struktra ruchu spółdzielczego na wsi ma iść w kierunku łączenia wymienionych funkcji gospodarczych w ramach jednej spółdzielni, czy też przeciwnie powinno być popierane tworzenie odrębnych spółdzielni dla każdego rodzaju zagadnienia, jest właśnie obecnie jądrem dyskusyjnym w sferach spółdzielczych.

Związek Samopomocy Chłopskiej reprezentuje pogląd, że wszystkie funkcje gospodarcze na wsi winny być skupione w ramach jednej gminnej uniwersalnej spółdzielni Samopomocy Chłopskiej ,poza którą istniałoby jedynie zagadnienie mleczarskie, zorganizowane w osobnej spółdzielni mleczarskiej. Szereg natomiast działaczy spółdzielczych wyraża pogląd, że specjalizacja jest lepszym rozwiązaniem.

Dobrze się też stało, że Związek Gospodarczy Spółdzielni „Społem" podjął inicjatywę powołania do życia spółdzielczego klubu dyskusyjnego, na zebraniach którego mają być dyskutowane wszelkie aktualne zagadnienia spółdzielcze.

W ubiegłym tygodniu odbyło się w Warszawie przy ul. Grażyny 13 pierwsze posiedzenie klubu przy udziale całego aktywu spółdzielczego przy czym jako pierwszy temat dyskusji obrano właśnie to nurtujące zagadnienie struktury spółdzielczości wiejskiej. Po zagajeniu zebrania przez prezesa „Społem" J. Żerkowskiego, wygłoszono referaty i koreferaty ,a po referatach wywiązała się bardzo interesująca dyskusja. W dyskusji zwolennicy koncepcji uniwersalnej spółdzielni gminnej, jako argument dla swej tezy podkreślali szereg ciekawych momentów. Twierdzili oni, że wieś polska jest zbyt biedna, aby można było myśleć o specjalizacji spółdzielczości. Jeżeli za granicą mogą istnieć specjalne spółdzielnie związane np. ze zbiorem pewnego gatunku śliwek lub ubezpieczeniem pewnego gatunku zwierząt, to w Polsce brak jest bazy produkcyjnej dla tak daleko posuniętej specjalizacji. Produkcja i potrzeby wsi są tak niewielkie, a przy tym tak wielki brak ludzi kwalifikowanych, żeześrodkowanie wszelkich wysiłków w spółdzielni uniwersalnej jest bardziej celowe. Gminne spółdzielnie uniwersalne mogą być pewnego rodzaju wylęgarnią różnych typów spółdzielni w miarę, jak poziom naszej gospodarki na wsi będzie się podnosił coraz wyżej. Zwolennicy tej koncepcji podkreślali również, że jednolitość ruchu spółdzielczego może być osiągnięta tylko w oparciu o koncepcję spółdzielni uniwersalnej.

Zwolennicy specjalizacji i branżowości podkreślali ,że właśnie brak ludzi wykwalifikowanych wymaga specjalizacji, gdyż trudno będzie znaleźć na wsi ludzi ,którzy poprowadzą w ramach jednej organizacji spółdzielczej zarówno handel, jak i rolnictwo i przemysł rolny. Podkreślali oni następnie, że w spółdzielni uniwersalnej zatraci się poczucie odpowiedzialności, że spółdzielnia taka może się zbiurokratyzować i nie spełni należycie swej roli wychowawczej w stosunku do swych członków. Wreszcie, że właśnie specjalizacja jedynie może być dźwignią postępu gospodarki chłopskiej.

Wobec spóźnionej pory dyskusja została przerwana i odroczona na okres kilkunastu dni.

W.

DLA *małych dzieci*

BAJECZKI

Raz swawolny Tadeuszek...

(rys. Kazimierz Grus)



Raz swawolny Tadeuszek
Nałapał pcheł zamiast muszek



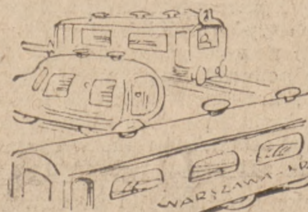
I chcąc figiel zrobić tacie,
Wszystkie pchły mu wsypał —
w spodnie.



Pchełki znaleźć bardzo łatwo.
Potem trzymał się za boki,



Widząc ojca śmieszne skoki.
Zrób ten figiel i ty, dziatwo,



Są w tramwajach, Pekaessie
I w pulmanach, jak wieść
niesie.



Lecz najwięcej ich, dziecino,
Ma warszawskie każde kino.

Janusz Odrowąż

SCHLUDNA STARUSZKA

Do Urzędu Stanu Cywilnego zgłosiła się schludna, dość jeszcze fertyczna staruszka.

Przed drzwiami zagadnęła woźnego:

— W sprawie małżeństwa, tu?

— Tu. — odrzekł woźny.

— A... jaka to instytucja, proszę pana? Prywatna, czy państwowa?

— Skąd prywatna, paniusiu! Urząd, jak każdy inny.

Staruszka ucieszyła się.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Ja, widzi pan, jako należąca do Spółdzielni Spożywców Warszawa-Południe, doceniam inicjatywę społeczną. I taniej i solidniej przeważnie.

To mówiąc, weszła do pokoju.

— Dzień dobry — rzekła. — Jestem sobie czyściutka, dobrze utrzymana staruszka. Poza tym nadzwyczaj miła jestem i cośniecoś mi się od życia należy.

— Pani w sprawie małżeństwa? — spytał urzędnik.

— Koniecznie. Lata jeszcze odpowiednie, pokoik niezagęszczony posiadam, a co do funduszów...

— Gdzie narzeczony? — przerwał urzędnik.

— Jak to gdzie? Po to właśnie przyszłam, żebyście mi coś odpowiedniego dobrali. Może być kolejarz, lub bezpartyjny inteligent, tylko, żeby nie był palący, bo kwiatki schną.

Urzędnik wstał od biurka.

— Nieporozumienie, proszę pani. My tu nie kojarzymy małżeństw, tylko je rejestrujemy. Każdy musi sam sobie wyszukać i dopiero...

— Też mi łaska! — oburzyła się schludna staruszka. — Każdy sobie! Proszę! To ja po to należę do Spółdzielni Spożywców Warszawa-Południe?

I wyszła.

— Ładny urząd! — rzuciła w stronę woźnego. — Niby to demokracja, nowe prądy, spółdzielczość, a tu, patrzcie państwo, popierają tylko inicjatywę prywatną!

Ze starych fraszek

NA WIELOMOWNOŚĆ

To mądry, co jest w słowach skąpy, mierny.
Czemu? Bo język jest serca odźwierny.
Jak tamten często nie ma skrzypać drzwiami,
Tak ten ma trzymać wartę za zębami.

FRANCISZEK ŁOSKI (1661 — 1728)

DO KRYTYKA

Ty wad w mych wierszach szukając usilnie,
Pewnie, że nieraz w nich znajdziesz co złego.
Ja — w twoich co bym chwalił, szukam pilnie,
Ale nie mogę znaleźć nic dobrego.

WACŁAW RZEWUSKI (1706 — 1779)

O KARZE KAMIENOWANIA

Gdyby za cudzołóstwa kamienować miano
Teraz, jak w starym niegdyś mieć zakonie chciano,
Przebrałoby się wiele kamieni w tej sprawie,
Tak, żeby ich na bruki nie stało w Warszawie.

JÓZEF MINASOWICZ (1718 — 1796)

Wyznanie liryczne

Między kondygnacjami latarń morskich w Gdańsku...

U pułapu Mysiej Wieży w Kruszwicy...

Na rusztowaniach zakopiańskiego amfiteatru, otaczającego przedwojenną skocznię FIS...

W kaplicy przed Zameczkiem w Wiśle...

Na szczycie Wieży Marjackiej w Krakowie...

Na wierzchołku sześćdziesięciometrowego masztu radiostacji w Łodzi...

Pod stropami Muzeum Narodowego w Warszawie...

Na wieży ratuszowej w Olsztynie...

Wśród sklepień Bramy Krakowskiej w Lublinie...

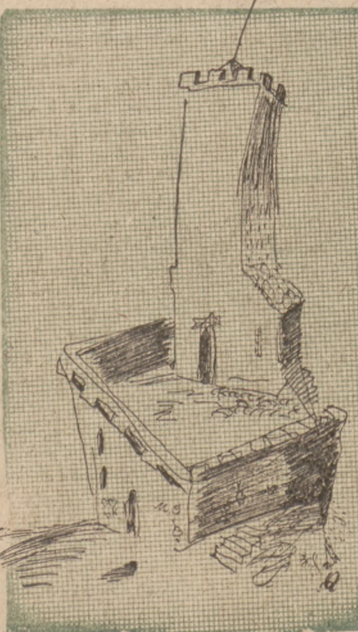
W wagonach wszystkich dalekobieżnych pociągów Warszawa - Kudowa i Kraków - Gdynia...

Na wszyskich ławeczkach wszystkich portów...

Na strzelistych murach ratusza we Wrocławiu...

Pod arkadami Wawelu...

Pod kopułą tumu płockiego...



Wszędzie tam — dokąd, zdawałoby się niekiedy, tylko ptak doleci albo wiewiórka chyża doskoczy... — wszędzie tam znowu pełno następujących napisów:

„Chelu, kocham cieu na fieki...“

„Tó był Mjetek ze Zbysiem dn... mca... roku...“

„Wszystkie głópki smarują słópki...“

I już ten jeden jedyny fakt — szczodrze od lat rozmnażany w setkach tysięcy odmian — każe mi niezachwianie wierzyć w naszą nieugiętość, w nasze przywiązanie do tradycji, w nasze predyspozycje do ryzyka, w naszą niezmordowaną żywotność połączoną, niestety, jakże często z rozbrajającą nieznajomością najprostszych zasad ortografii.

JAN HUSZCZA

DLA *dużych dzieci*

Przygody Zagłoby

Pierwsza Victoria

(rys. Jerzy Zaruba)

Przez dzień cały imć Zagłoba dla załatwienia bagatelnej sprawy po urzędach chodził. Nic nie wskórawszy, wracał już o zmierzchu pustą, zburzoną ulicą. Gdy wtem...



— Ki diabeł? Nicpoń jakiś o gębie Bohuna z ruin wyszedł, zacny drążek w reku trzyma i wprost ku mnie lezie.



— Wyskakuj pan z jesionki!
— Waćpan chyba żartujesz?
— No już, pieska twoja niebieska! Bo jak zaprawię w ucho...
— Muszę salwować się ucieczką... Wszyscy Święci! Ten drab mnie goni! Ostatnia moja godzina wybiła-



— Zdaje mi się, żem na kogoś wleciał. A i ten opryszek z rozpędu wstrzymać się nie mógł.
— Co jest, jak pragnę zdrowia! Milicję Obywatelską pan na ulicy przewracasz?



— Jeńca, mości strażniku, prowadzę! Ow łotrzyk obrabować mnie pragnął, toteż, pojmawszy go, w wasze ręce oddaję!

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

Mrożone owoce

Ostatnio w sklepach spożywczych widzimy dużo mrożonych owoców i jarzyn. Mrożone jarzyny i owoce nic nie tracą w smaku i zawierają dużo witaminy C.

Owoce odmrażamy w następujący sposób: przekładamy je na półmisek i zalewamy ocukrzoną letnią wodą tak, aby były całkowicie w tym syropie zanurzone. Przykrywamy talerzem lub przykrywką i po 2—3 godzinach owoce są odmrożone i zdatne do użytku.

Z czarnych jagód lub wiśni można przygotować smaczną zupę owocową z łazankami, lub obłożyć nimi placek.

Przepis na zupę: pół kg owoców rozgotować w takiej ilości wody, ile talerzy zupy chcemy mieć. Przetrzeć przez sitko, zaprawić łyżeczką kartoflanej mąki i dowolną ilością cukru, dodać do smaku trochę cynamonu.

Przepis na placek: 12 dkg masła, 12 dkg cukru, 3 żółtka ukręcamy na pianę, dodajemy 20 dkg mąki, zmieszanej z paczką proszku „Rozrost", dodajemy do zapachu cukier waniliowy, 1/8 lub 1/4 litra mleka — ciasto musi być bardzo wolne — ubijamy pianę z trzech jaj i wszystko razem mieszamy ostrożnie. Napełniamy ciastem wysmarowaną masłem formę, okładamy wiśniami lub jagodami i pieczemy 1/2 — 3/4 godziny. Po upieczeniu posypujemy cukrem-pudrem i krajemy w kwadraty. Przed obłożeniem placka owocami, należy owoce obsuszyć.

Sposób odmrażania jarzyn. Mrożone jarzyny (groszek, fasola) wsypuje się wprost do gorącej wody i gotuje się, ale znacznie krócej niż jarzyny świeże, ponieważ mrożone miękną o wiele prędzej. Po ugotowaniu dodajemy do smaku trochę cukru i soli. Fasolkę trzeba okrasić masłem z sucharkami, zaś groszek zaprawić łyżeczką mąki i masła.

Sposób odmrażania ogórków. Wkładamy ogórki do zimnej wody. Najpierw zmiękną, ale potem stają się z powrotem twarde i wtedy obieramy je i przyrządzamy jak świeże. Bardzo dobrze można je przyrządzać w następujący sposób: pokrajać w talarki, posolić, zlać słoną wodę, dodać trochę octu, cukru i zalać śmietaną. Smakują jak prawdziwa letnia „mizeria". Czas tajania ogórków koło 2—3 godzin.

Sposób odmrażania pomidorów. Wrzucić pomidory na krótko do wrzątku, wyjąć z wody, zdjąć z nich skórkę i krajać, póki są jeszcze zmarznięte.

W następnym numerze ogłosimy konkurs autorski na rozrywki umysłowe





Bluzki... bluzki... bluzki...

Już niedługo minie mróz i zawieje śnieżne — pani będzie musiała pomyśleć o odnowieniu swej wiosennej garderoby. Na przykład kostium, który nosiło się już kilka sezonów, znakomicie można uzupełnić nową bluzeczką, co nie wymaga dużych wydatków — całość będzie natomiast wyglądać świeżo i ładnie. Czasem możemy zużytkować do tego celu zniszczoną sukienkę letnią.

Jedną z czterech bluzeczek, które widzimy na ilustracji, z pewnością pani wybierze do spódniczki lub kostiumu.

1) Bluzeczka w drobną kratkę zapina się na podwójne guziczki. Karczek krojony jest wskos, natomiast reszta bluzki prosto, tak samo kołnierz i rękawy. Koszulowy rękaw, marszczony przy mankiecie. Ukośny pasek przybrany guziczkami. Na taką bluzkę potrzeba 2 metry materiału.

2) Bluzeczka z crepe-de-chine w groszki, robi wrażenie kamizelki. Wykładany kołnierzyk, koszulowe rękawy i wiązanie przy pasku oraz efektowne guziki uzupełniają całość. Na tę bluzeczkę również wystarczą 2 metry materiału.

TRZECI KONKURS „TYGODNIA"
NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

Jako nagrody Redakcja przeznacza: 30 nagród książkowych, 20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

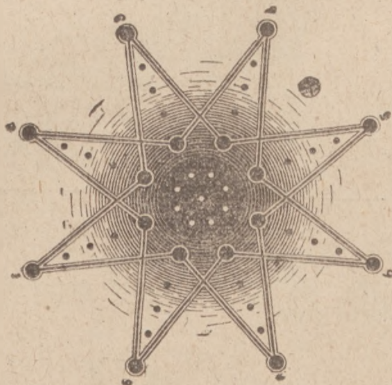
Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania, przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

ZADANIE GWIAŹDZISTE

Podana figura przedstawia 8 wyrazów czytanych dośrodkowo, o wspólnej końcowej głosce. Początkowe głoski wyrazów w wierzchołkach figury dadzą nazwisko znakomitego poety i bajkopisarza polskiego w XVIII w., zaś głoski, przypadające w miejscach łączenia się ramion figury, — miejsce jego urodzenia.

Znaczenie wyrazów: 1) Utwór sceniczny, 2) choroba, 3) część matematyki, 4) herb polski, 5) imię żeńskie, 6) strawa, wikt, 7) zbiórka na cel dobroczynny, 8) wstęp do studiowania Pisma św.

ułożył **Erazm Grójnacki**



Objaśnienie do eliminatki zamieszczonej w Nr. 7 (31) „Tygodnia": Z brzmienia odgadniętych znaczeń kolejnych rysunków z pierwszego i trzeciego rzędu wykreślić litery wchodzące w skład klucza. Pozostałe litery dadzą rozwiązanie.

Od i do redakcji

„Ramzes" we Wrocławiu. Nadesłaną krzyżówkę wykorzystamy.

P. inż. Michał Mackowski w Ostrowcu Świętokrzyskim. Zdjęcia otrzymaliśmy, wkrótce wyślemy list.

P. Zdzisław Bien w Świdnicy (Dolny Śląsk), P. Stanisław Solecki w Pionkach i P. Gustaw Renaud. Przy okazji wydrukujemy.

P. Włodzimierz Dylis w Rembertowie. Dziękujemy za życzenia. Po przezwyciężeniu pewnych trudności technicznych, działy, które Pana interesują, rozszerzymy.

P. Wiesław Nowicki w Warszawie. Uwagi Pana odnośnie krzyżówek są słuszne. Wkrótce ogłosimy konkurs autorski.

P. Kazimierz Karol w Strzyżowie nad Wisłokiem k. Rzeszowa. Na wiosnę zwiększymy wysyłkę egzemplarzy na teren województwa Rzeszowskiego.

P. Marian Wietrzny w Czchowie pow. Brzesko. Prosimy o nadsyłanie rebusów i krzyżówek. Mamy rysownika, który technicznie projekt wykończy. Za gratulacje dziękujemy.

P. Henryk Duszyński w Gdańsku. Nadesłany materiał wykorzystamy.

P. Eugenia Jaszczyszynowa w Strzelcach Opolskich. Istotnie były to pewne niedokładności w wykonaniu. Odnośnie rebusu 6, to następnie podaliśmy sprostowanie, że szóstą linię od dołu należy skasować.

P. Jan Barwin, wieś Szałas, poczta Bliżyn. Prosimy o reportaże terenowe.

Anegdoty historyczne

POEZJA OKOLICZNOŚCIOWA

W roku 1810 Napoleon, zaślubiwszy Marię Ludwikę, odbywał z młodą małżonką uroczystą podróż po Francji Północnej. Ażeby uczcić przybycie pary cesarskiej, burmistrz jakiegoś miasteczka wzniósł bramę triumfalną, a na szczycie jej umieścił transparent z napisem:

Il n'a pas fait une sottise
En épousant Marie - Louise.

(Nie zrobił jednak głupstwa zaślubiając Marię Ludwikę).



Napoleon zauważył ten płód sztuki poetyckiej, który zawierał dowcipną aluzję polityczną do uporządkowania się, skutkiem małżeństwa, stosunków pomiędzy Francją i Austrią.

— Panie, burmistrzu — zapytał — widzę, że muzy mieszkają w pańskim mieście.

— O, najjaśniejszy panie, to mnie się czasami zdarza ułożyć wiersz przy wielkich okazjach.

— Więc pan jest autorem tej pięknej sentencji? Proszę niech pan zażyje tabaki. — I cesarz podał zmieszanemu poecie złotą tabakierę, ozdobioną brylantami: — I niech pan zachowa ten drobiazg na pamiątkę:

Quand vous prendrez une prise,
Souvenez-vous de Marie-Louise.

(Gdy będziesz pan brał z niej szczyptę, wspominaj Marię Ludwikę).



CO TYDZIEŃ NAGRODA



W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. podzieliliśmy między redakcję „Kuźnicy" i redakcję „Gazety Ludowej" 75 zł więc otrzymuje redaktor naczelny „Kuźnicy" Stefan Żółkiewski, drugie 75 zł p. Stanisław Mikołajczyk jako prezes NKW PSL, będącego wydawcą „Gazety Ludowej".

Rzecz miała się tak. W Nr 4(28) „Tygodnia" ukazała się następująca „Skleroza":

„...Nagrodę 75 zł otrzymał Czesław Meyer (Łódź, ul. Piotrkowska 209 m. 15) za nadesłanie zadania algebraicznego z podręcznika Banacha:

„Złodziej ukradł rower i uciekł, jadąc z prędkością 12 km-godz. Po „m" minutach właściciel zauważył kradzież i puścił się w pościg na motocyklu, poruszając się z prędkością 40 km-godz. Kiedy dogoni złodzieja? (Banach: Algebra na kl. III, str. 75, Nr 20).

„Podobno cała klasa, rozwiązując zadanie dała odpowiedź z nadzwyczajną prędkością: nigdy — ponieważ złapać złodzieja w dzisiejszych czasach jest niepodobieństwem. Odpowiedź świadczyłaby o niezwykłej smykałce i wyrobieniu życiowym współczesnej młodzieży, co należy uznać za objaw dodatni. Co się tyczy jej rodziców, ci podobno protestowali przeciw tego rodzaju zadaniom, utrzymując, że są niepedagogiczne. Za ich czasów — mówili — w zadaniach algebraicznych gonili się zwykle dwa pociągi. Na to autor zadania p. Banach miał oświadczyć, że i on początkowo — zgodnie z tradycjami — chciał wprowadzić gonitwę pociągów, musiał jednak zaniechać zamiaru, albowiem pociągi chodzą dość nieregularnie i nigdy nie można przewidzieć ich ewentualnego opóźnienia, a w zadaniach matematycznych obowiązuje ścisłość".

Taka była Skleroza. Na to „Kuźnica" w Nr 7(76):

W ostatnim numerze „Tygodnia" zamieszczono... zadanie algebraiczne z podręcznika jako dowód „sklerozy" autora książki szkolnej. Po czym następuje komentarz, kilka słów, lekceważących i pogardliwych o autorze podręcznika algebraicznego „niejakim" p. Banachu. Kim jest ów p. Banach? Otóż śp. prof. Stefan Banach, wykładowca i ostatni dziekan wydziału matematyczno-przyrodniczego Uniwersytetu Lwowskiego, był jednym z najwybitniejszych polskich matematyków...

Lekceważący... pogardliwy... niejaki... Skąd się to wszystko wzięło? P. Banach przedstawiony jest raczej jako tradycjonalista, który chciał wprowadzić gonitwę pociągów, lecz z przyczyn od siebie niezależnych musiał odstąpić od tego zamiaru. Istota sklerozy tkwiła w czym innym. Może w ocenie współczesnej obyczajowości?

Sprawę naszej „Sklerozy" następnego dnia po ukazaniu się „Kuźnicy" podjęła „Gazeta Ludowa". Ta zgodność poglądów obu pism tak różnych obozów wymagała stanowczo specjalnego wyróżnienia i odznaczenia, co niniejszym czynimy.



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa, Smolna 12 B-19597

Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI

KOMISJA SPECJALNA

Moja kochana!

Ach, te nerwy! Te nerwy człowiek ma już wprost porwane na strzępy. Wierz mi, moja droga, że nie ma dnia, żeby się nie zdenerwować. Wszystko dobrze, jak długo się nie zarabia. Żebyś ty wiedziała, jak ja zazdroszczę tym, co nie zarabiają! Ci mają lekkie życie. Cóż oni mogą mieć za zmartwienia? Zarobią parę złotych, wydadzą i koniec. A nie mają, to nie wydadzą. Natomiast ludzie, którzy tak jak my, są zmuszeni robić większe interesy i, to, niestety, z powodzeniem — zupełnie nie mogą dać sobie rady. Że te źródła zarobku nie są tak zupełnie legalne, to już chyba nie nasza wina. Dosyć już kłopotów z wykazaniem się. Pomysł z loterią jest stary i znany, więc szanujący się ludzie nie mogą już go używać. Po prostu idzie się do człowieka, który wygrał duży los na loterii i płaci mu się większą sumę za to, żeby w razie czego poświadczył, że sprzedał mi w swoim czasie ten los przed ciągnieniem. W ten sposób mogę się już wykazać, że te sto tysięcy, powiedzmy, wygrałam na loterii. Ale to mi urządza dopiero sto tysięcy. A co z resztą? Nie ma rady, trzeba chować.

W związku z tym przeżyliśmy niedawno przykrą chwilę. Wyobraź sobie — była godzina jedenasta wieczór i siedzieliśmy właśnie przy brydżu. Akurat ciocia zalicytowała z ręki dwa piki — nagle dzwonek u drzwi wejściowych. Zdębieliśmy wszyscy, bo kto to może dzwonić o tej porze? Podeszłam do drzwi i zapytałam „kto tam". — „Komisja Specjalna" — odpowiedział jakiś głos. Słabo mi się zrobiło. Miałam jednak tyle przytomności umysłu, że krzyknęłam zmienionym głosem: „Zaraz, zawołam panią!" — i pobiegłam do pokoju z tą okropną wiadomością.

Wszyscy się zerwali na równe nogi i zaczęli mówić jedno przez drugie. Ciocia krzyczała, żeby schować do bieliźniarki, Kropska proponowała kosz od śmieci, Kropski złapał to co było na wierzchu, i pchał pod materac, a Kocio był za Encyklopedią Meyersa.

Tymczasem sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, bo ten dzwonek dzwonił i dzwonił. Starałam się zrobić jakiś porządek, ale była taka panika, że nikt nie słuchał. Ciocia zrobiła groch z kapustą wśród mojej bielizny, Kropska wyrzuciła wszystkie śmieci z kosza na dywan, Kropski poprul bok od tapczana, a Kocio rozwalił trzeci tom encyklopedii Meyersa od „Bismarck" do „Chemnitz".

A ten dzwonek u drzwi dzwonił bez przerwy. Wołałam: „Prędzej, prędzej, przecież trzeba otworzyć!" — ale oni sobie wyrywali tę walutę każdy chciał pakować gdzie indziej i wszystko wciąż jeszcze leżało na wierzchu. Wreszcie krzyknęłam: „Podzielić! Niech każdy schowa część!" — i wszyscy się zgodzili, ale ten dzwonek tak dzwonił, że nam wszystko z rąk leciało. Nareszcie popchali to wszystko jako tako, ale dla sprawdzenia wsadziłam rękę w bieliźniarkę i z reform, co leżały na samym brzegu, wyleciały te dolary, co ciocia tam wsadziła. Ten dzwonek wciąż dzwonił, te dolary na wierzchu i w dodatku ciocia się obraziła i powiedziała że ona już nie będzie chować i że ją nic nie obchodzi. Musiałam więc sama się za te dolary wziąć. Chciałam je wrzucić za kredens i stłukłam kryształ, ale już nie było czasu do stracenia, więc wepchnęłam je w kupę starych „Przekrojów" i poszłam otworzyć.

I co ty na to? Za drzwiami stał nasz sąsiad z przeciwka, któremu się zachciało zrobić taki kawał! Ryczał ze śmiechu, powiadam ci! Powiedział, że musimy się inaczej zorganizować, bo stał za drzwiami dwadzieścia minut na zegarku.

W pierwszej chwili chcieliśmy go roznieść na kawałki, ale Kropski, który zawsze jest bardzo zrównoważony, słusznie powiedział: „Kawał nie był mądry, ale pożyteczny. Dużośmy się dzięki temu panu nauczyli". I zaproponował temu sąsiadowi, żeby od czasu do czasu robił z nami takie próby, nie uprzedzając nas. Był od tamtej pory już dwa razy i ostatnio załatwiliśmy wszystko w trzy i pół minuty. Sąsiadowi kupiliśmy stoper, żeby nie było pomyłki. Powinniśmy w ciągu paru tygodni dojść do ładnych rezultatów. Jednak co wprawa, to wprawa.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Twoja Alicja



Za drzwiami stał nasz sąsiad z przeciwka, któremu się zachciało zrobić taki kawał!



Rysunki Juliana Żebrowskiego



— Dlaczego płakałaś na „Zakazanych piosenkach"?
— . . . Bo się nikomu nie podobały!



Podobno ma być nakręcony nowy film z czasu okupacji w Niemczech pt. „Zakochane piosenki"...



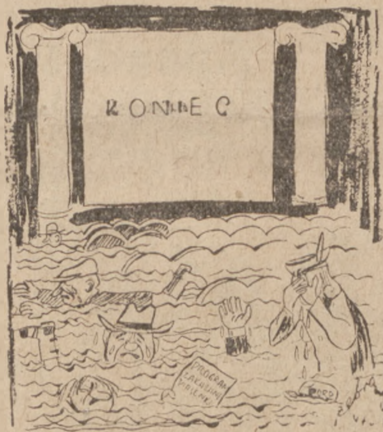
— Dlaczego pan płacze na „Zakazanych piosenkach"?
— Bo nic nie widzę przez te kapelusze . . .



— Byłaś na „Zakazanych piosenkach"?
— Byłam.
— Co tam najwięcej ci się podobało?
— Brodzisz!



— Czy byłaś na „Zakazanych piosenkach"?
— Nie, podobno są zakazane!...



Podobno na „Zakazanych piosenkach" wylano morze łez . . .



W następnym numerze przyniesie: Dr. Marcin Woyczyński – Fragment z pamiętnika ● Marek Sadzewicz – Podróż do kresu nicości ● Grzegorz Timofiejew – Czarna jak diabeł i słodka jak miłość.